

Wzrastać w światłości

Tegoż autora w Bibliotece „**Trzymać dłoń Chrystusa**”

---

ukazały się:

„Rodzić się dla świata wyższego.  
Rekolekcje Wielkopostne”, Kraków 2000

„Przewodnik do Nieba.  
Zasady życia chrześcijańskiego”, Kraków 2000

**ks. Aleksander Zienkiewicz**

# **WZRSTAĆ W ŚWIATŁOŚCI**

**Stawać się chrześcijaninem  
Stawać się księdzem**

Tą książeczką „wspólnota  
czwórkowa” chce uczcić  
Wujka, swego kochanego wy-  
chowawcę i nauczyciela,  
w piątą rocznicę Jego odej-  
ścia do Pana.

Kraków 2000

Copyright wydania polskiego  
© 2000 WYDAWNICTWO OO. FRANCISZKANÓW „Bratni Zew” spółka z o.o.

ISBN 83-86991-75-5

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

W sprawie zezwoleń należy się zwracać do wydawnictwa:  
„Bratni Zew” sp. z o.o., ul. Grodzka 54, 31-044 Kraków.

*Zamówienia na książki można składać w wydawnictwie:*  
ul. Grodzka 54, 31-044 Kraków  
tel. (012) 428 32 40, fax (012) 428 32 41

*Do druku przygotowała: Jadwiga Wartalska*

*Fot. na okładce: A. Zajac OFMConv*

*Imprimi potest:*

Kuria Prowincjalna OO. Franciszkanów  
L.dz. 846/2000, Kraków dnia 14. 09. 2000 r.

---

*Montaż elektroniczny:*

WYDAWNICTWO OO. FRANCISZKANÓW  
„Bratni Zew” spółka z o.o.  
ul. Grodzka 54, 31-044 Kraków  
tel. (012) 428 32 40, fax (012) 428 32 41

---

*Druk: „Pracownia AA”, Pl. Na Groblach 5, 31-101 Kraków*

## SPIS TREŚCI

Szkoda, aby przebrzmiały... ..	7
1. POWOŁANIE .....	13
2. MIŁOŚĆ .....	31
3. GRZECH I SPOWIEDŹ .....	51
4. CZYSTOŚĆ .....	73
5. MODLITWA.....	91
6. IDŹCIE I NAUCZAJCIE .....	99
7. NIE BÓJ SIĘ... ..	107
Aneks .....	121



## *Szkoda, aby przebrzmiały...*

Dzięki oficynie wydawniczej OO. Franciszkanów „Bratni Zew” w Krakowie światło dzienne ujrzała trzecia już z kolei książeczka „WZRASTAĆ W ŚWIATŁOŚCI” z zawartością tekstów Ks. Aleksandra Zienkiewicza, w latach pięćdziesiątych rektora Seminarium Duchownego we Wrocławiu, a potem przez niemal pół wieku duszpasterza akademickiego w Centralnym Ośrodku Duszpasterstwa Akademickiego (CODA) przy ul. Katedralnej 4.

Tym razem jest to kilka nauk z rekolekcji wygłoszonych do kleryków wrocławskiego seminarium w dniach od 26 do 30 października 1976 roku.

Ksiądz Aleksander Zienkiewicz, powszechnie zwany Wujkiem, wygłosił rekolekcje we wrocławskim seminarium, gdy byłem na trzecim roku i za dbałem o to, ażeby je zapisać na taśmie magnetofonowej. Skorzystałem z uprzejmości kolegi Roberta Krawca (obecnie jest duszpasterzem Polonii

w Niemczech), który z powodu choroby przebywał w infirmerii i mógł słuchać nauk przez głośnik. Tam też były najlepsze warunki nagraniowe.

W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych znalazłem się we Wrocławiu na Akademii Rolniczej i trafiłem pod 4-kę, tak to się wtedy mówiło, czyli do CODA przy ul. Katedralnej 4, gdzie posługę duszpasterza akademickiego pełnił Wujek właśnie, serdeczny i kochany przez studentów, którzy na okrągło zawracali mu głowę. Taki był układ zajęć na uczelni, że przeważnie raz w tygodniu, we wtorek, mogłem wpaść pod 4-kę. We wtorki Wujek, po Mszy św. w kościele św. Piotra i Pawła o godz. 19.00, miał wykłady z etyki ogólnej i szczegółowej. Zaraz na początku zauważyłem, że to, co ten Ksiądz mówi, warto zapisać, utrwalić. Było to tak interesujące, ciekawe, w tak pięknej szacie słownej podane, że szkoda, aby przebrzmiało i pograżyło się w niebycie. Postanowiłem więc, że będę notował także przepiękne homilie i gawędy Wujkowe z niedzielnych spotkań przy kominku. Tak na własny użytek, aby do tego kiedyś powrócić. Nie było to wtedy takie proste. W czasach PRL Służba Bezpieczeństwa była wszechobecna, a takie środowiska, jak seminaria duchowne, duszpasterstwa akademickie, młodzieżowe, „cieszyły” się szczególnym jej zainteresowaniem. Starano się je rozpracowywać poprzez konfidentów werbowanych spośród uczestników. Chciano wiedzieć, co się tam mówi, kto przychodzi, co znajduje się w gablotach, na tablicach ogłoszeń itd. W takim kontekście sporządzający no-



tatki musiał wzbudzać podejrzenia. Na szczęście moja osoba takowych nie wzbudziła. Kiedy znalazłem się w seminarium wrocławskim, wymyślałem się w niedzielę do katedry, aby nagrywać Wujkowe kazania głoszone na Mszach akademickich, w czym pomagała mi siostra Sywina, zakrystianka. Z czasem odkryłem, że także inni „czwórkowicze” notują i utrwalają Wujka na taśmach magnetofonowych. W ten sposób pozostał po Nim spory zasób różnorodnych tekstów, które grupa wychowanków postanowiła zgromadzić w jednym miejscu, usystematyzować i tematycznie publikować pod wspólnym tytułem „Trzymać dłoń Chrystusa”. Tytuł ten został wzięty z testamentu zmarłego przed pięciu laty w opinii świętości Kapłana. Zawiera on jednocześnie program kierowany szczególnie do „wspólnoty czwórkowej”. Powyższa inicjatywa jest poniekąd realizacją tego testamentu. Dzięki niej dla wielu otwiera się możliwość powrotu do nauk słuchanych w latach studenckich. Ich lektura dziś to okazja do „rewizji życia”, do dezintegracji pozytywnej również dla tych, którzy po latach stwierdzili, że niestety zamknęli się w czterech ścianach „małej stabilizacji” lub znajdują się na mieliźnie minimalizmu. Teksty Wujkowych nauk chcemy udostępnić nie tylko jego wychowankom, lecz także wszystkim, którzy co prawda Wujka nie spotkali i już chyba na tym świecie nie spotkają, ale mają pragnienie jak najpełniejszej realizacji swego człowieczeństwa i chrześcijaństwa. Ci, w nauczaniu tego Bożego Kapłana, znajdą wiele inspiracji i światła.

Jestem przekonany, iż serca czytających przepełni uczucie ogromnej wdzięczności wobec Autora, a usta ich wypowiedzą: Jak to dobrze, że te słowa zostały zapisane. Spodziewam się, że po lekturze tych kilku nauk, tę opinię podzieli aktualni kandydaci do kapłaństwa. Także kapłani z większym lub mniejszym stażem znajdą tutaj pomoc, aby się na nowo w kapłaństwie odnaleźć i bardziej w nim „być” niż „funkcjonować”. Dla niektórych spotkanie z tą książką może okazać się trudne, ponieważ stawia każdego wobec wysokich wymagań na miarę kapłaństwa Chrystusowego.

Bezpośrednim i głównym adresatem zawartych w tej książce nauk są klerycy i kapłani. Lecz także nie kleryk i nie ksiądz, gdy weźmie ją do ręki, wiele z niej skorzysta. Rekolekcjonista bowiem, mając pełną świadomość, że kapłaństwo zakłada (żeby nie było zgorszeniem) pewien poziom człowieczeństwa, kultury humanistycznej i chrześcijańskiej (*gratia supponit naturam*), wypowiada wiele pouczeń o charakterze uniwersalnym, mających odniesienie do każdego chrześcijanina, każdego człowieka. Dzieli się ze wszystkimi bogactwem swego wnętrza, doświadczeń, wiedzy i swej osobistej wiary. Każdego odsyła do Chrystusa.

Podsumowaniem niejako niniejszych nauk jest zasługujące na uwagę kazanie, zamieszczone na końcu książki, które Wujek wygłosił podczas mojej Mszy św. prymicyjnej w Siedlęcinie 24 maja 1981 roku.

Na koniec słowa wdzięczności osobom, które podejmują trud przygotowywania do druku kolejnych tekstów Wujka. Wierzę, że przede wszystkim od Niego samego, gdyż dalej może nauczać on ponadczasowych prawd Bożych, już z tamtej strony życia. Również ode mnie. Bez Was te nauki i wszystkie inne, oczekujące jeszcze na opracowanie, pozostałyby bezużyteczne, pokryte grubą warstwą kurzu zapomnienia.

*ks. Tadeusz Rusnak*  
*proboszcz parafii św. Macieja we Wrocławiu*



## 1. POWOŁANIE

Wszyscy jesteście powołani do prawdy, do dobra, do Chrystusa, do realizacji swego człowieczeństwa, do urzeczywistniania swojego chrześcijaństwa. Ale niektórzy są szczególnie powołani do specjalnych funkcji i zadań. Są powołani do kapłaństwa szczególnego.

Oto my, kapłani, jesteśmy przekonani, że On nas powołał i wy, drodzy przyjaciele, też sądzicie, jesteście przekonani, że was też On osobiście powołał. Nadmieniliśmy dzisiaj, że forma powołania, jaką stosował Jezus za czasów swojej misji apostołskiej w Palestynie, była przejrzysta. On w sposób widzialny, fizyczny, stał przed takim kandydatem i mówił: Pójdź za mną. Właśnie. A dzisiaj powołanie, czy sposoby powołania, uległy pewnemu zamgleniu.

Dzisiaj, nawet w świeckim języku, używa się tego słowa powołanie (i bardzo słusznie), jako przeciwieństwa zawodu. Niektórzy ludzie wybierają zawód, a są powołani do tworzenia czegoś, do spełnienia jakiegoś szczególnego zadania. Lu-

dzie zawodu przede wszystkim mają na uwadze siebie, swoją wygodę, swoje przyjemności, jakieś wynagrodzenie, jakieś dochody. Wybierają to, co im leży, to, co przyniesie najwięcej wartości materialnych.

A człowiek powołany mniej liczy się z tym, co za to będzie miał, tylko chce coś darmo dawać i przekazywać. Nauczyciele, pielęgniarki, lekarze z powołania – to właśnie ci, którzy mniej liczą się z tym, co otrzymają, a bardziej akcentują to, co sami dadzą. Co chcą dać. To jest powołanie.

Ale powołanie do kapłaństwa – to jest powołanie szczególne, do nadprzyrodzonych misji, nadprzyrodzonych zadań. I tego właściwie nie wybieramy. Bo w powołaniu świeckim udział człowieka może być nawet decydujący. A tutaj – Jego słowo jest decydujące. Ale właśnie forma tego słowa, jak powiedzieliśmy, nie musi być jasna. Dzisiaj to powołanie wyraża się wezwaniem naszego sumienia, powiedzmy raczej więcej niż sumienia – naszej psychiki, naszej woli, naszego umysłu. Tam czujemy to jakieś wezwanie, nachylenie – na tym obszarze. Oto dostrzegam wartości tam właśnie: w Kościele, w Jezusie, w tej misji apostoelskiej. Tam widzę odłogi, w mrokach, poza kręgiem Miłości. I oto chciałbym nieść im światło Ewangelii, chciałbym służyć w sposób szczególny tym braciom, nie licząc się z tym, co za to będę miał. Nawet nie licząc się z tym, czy będzie to dla mnie przyjemne czy nieprzyjemne. Czy będzie łatwe, czy będzie trudne. I tą drogą gdzieś dochodzi do nas głos wezwania Bożego. Ale oczywiście mogą

zachodzić wypadki wyjątkowe, kiedy człowiek, kandydat do kapłaństwa czy do zakonu, niemalże słyszy wezwanie: Pójdź za mną. Niemalże fizycznie słyszy ten głos Boga, głos Jezusa, że tam moje miejsce, tam muszę być... On mnie wzywa, a nawet zachodzą przypadki niemalże cudowne, to znaczy bardzo nadzwyczajne takich wezwań.

Niektórzy ludzie, którzy otrzymali takie wezwanie, nie śmiały nawet mówić, w jakich okolicznościach i warunkach usłyszeli ten głos ...

Ojciec Damian, gdy usłyszał na lekcji, którą przeprowadzał ksiądz, o powołaniu do kapłaństwa, w swoim zeszycie napisał: Nigdy nie zostanę księdzem, nigdy! A potem coś zaszło, czego nawet on sam dokładnie nie opowiedział. Nastąpił jakiś zdecydowany zwrot. Nie tylko został księdzem, ale został misjonarzem nad misjonarzy. Zyciorys, biografię Ojca Damiana powinniśmy wszyscy znać.

W ostatnich czasach Karol de Foucauld – bawidamek, lew salonowy, wicehrabia, oficer Gwardii Cudzoziemskiej, również niemalże ateista, także przeżywa jakieś olśnienie, głębinowe nawrócenie. Przeżywa wezwanie, wszystko zostawia i idzie za Jezusem. To są te powołania niezwykłe, nadzwyczajne.

Gdzie idzie o te powołania, nazwijmy – zwyczajne, tutaj stajemy zawsze wobec tajemnicy. Do dna nigdy nie dojdziemy. Niemniej jednak fenomeny, znaczy obserwacje pewnych zjawisk, pewnych wymiernych faktów, prowadzą socjologów do podziału. Ks. Bardecki napisał na ten temat

pracę: „O powołaniu” i dokonał podziału, ogólnie rzecz biorąc, na powołania łatwe i trudne.

Powołania łatwe przebiegają, jeśli tak można powiedzieć, bezkonfliktowo. Chłopiec czuje wewnętrznie jakieś wezwanie Boga przez sumienie. Ten chłopak widzi wartości w tej służbie kapłańskiej, często jest nimi zafascynowany. Pociąga to go w sposób bezkonfliktowy. Gdzie indziej, powiada, by się czuł nieszczęśliwy i idzie za tym wezwaniem, idzie w sposób bezkonfliktowy przez seminarium i dochodzi do święceń. I lepiej lub gorzej służy Panu i ludziom w kapłaństwie. Choć zawsze zdrada jest możliwa.

Może dzisiaj specjalnie warto byłoby zwrócić uwagę na perykopę ewangeliczną (św. Łukasz), gdzie Pan Jezus wymienia dwunastu Apostołów, wymienia z imienia Judasza: *ten, który go wydał*. Dodaje: *ten, który wydał Pana*. Albo *zdradził*. Otóż i taki człowiek o powołaniu łatwym może zdradzić.

Druga kategoria to powołania trudne, konfliktowe.

Kandydat waha się. Słyszy z jednej strony jakieś głębinowe wezwania przez sumienie, przez myśl, przez serce. Słyszy to wezwanie. Widzi te wartości na polu kapłaństwa. One go nawet pociągają, ale z drugiej strony jest jakiś opór, sprzeciw przed tym wezwaniem. Powstają konflikty, wahania. Człowiek pyta, czy rzeczywiście to jest głos Pana Boga, czy może są to jakieś nachylenia zupełnie naturalne? Waha się, pyta. Wreszcie decyduje się na wejście w progę seminarium, a więc



na drogę kandydatury do kapłaństwa. I znów często przeżywa pewne wahania, czasami nawet ostre kryzysy, czasami mu się wydaje, że nie jest powołany. A potem znów, po modlitwie, po jakiejś głębszej konfrontacji, jakiejś rewizji, czuje ten „głos wezwania”: jednak powinieneś tam pójść, powinieneś zostać kapłanem! Oczywiście radzi się wychowawców, spowiedników, przełożonych. Jeżeli to czyni w sposób szczerzy, to oczywiście uzyska tutaj ogromną pomoc. Czasami nawet idzie do święceń kapłańskich z wielkimi oporami. Czasami przeżywa nawet Ogrójec – gdy przyjdzie wieczór, w którym musi się ostatecznie zdecydować. Słyszy wezwanie, ale i opory: jakieś przywiązanie, jakieś hałasy, jakieś wątpliwości. No i wreszcie: tak albo inaczej. Zachodzą przypadki, że w ostatniej chwili taki kandydat wycofuje się.

Najczęściej jednak, jeżeli przejdzie przez okres stażu i próby w seminarium, to jednak decyduje się na przyjęcie tego krzyża, bo widzi w tym krzyż. Decyduje się i idzie na pole działania kapłańskiego. I spełnia swoje zadania lepiej lub gorzej. Różnie to bywa. Tajemnice!

Otóż tym, którzy odczuwają te trudności, tę trudną drogę powołania, trzeba na pociechę powiedzieć, niezależnie od ks. Bardeckiego, biorąc od strony ludzkiej, że te powołania są cenne z punktu widzenia osobowościowego rozwoju charakteru. Bo można by powiedzieć – człowiek ten, o trudnej drodze, bardziej się ubogaca, bardziej rośnie. On przeżywa stany, jakby to powiedział pan prof. Dąbrowski, dezintegracji – łamania i te-

go ponownego naprawiania kości. Ten człowiek bardziej się wczuwa w sytuację, kondycję człowieka, więcej widzi, więcej przeżywa. Ten człowiek, przechodząc przez trudy, bardziej się hartuje. Taki człowiek, oczywiście o ile jest otwartym, szczerym chrześcijaninem, właściwie ma więcej, powiedzmy, motywów do modlitwy, do szukania pomocy Jezusa, do liczenia na Niego. I takie powołania, jakby powiedział ks. Bardecki, właśnie dają na ogół pogłębionych kapłanów. Kapłanów, którzy potem mniej zawodzą, bo oni przeszli próbę niepokoju, pokus, jakoś się „ubezpieczyli” w sposób naturalny.

Oczywiście, że szanse łatwego powołania są równie dobre, jeżeli ten człowiek wykorzysta tę szansę, jeżeli w tę łatwość wprowadzi to wszystko, czego żąda od niego Jezus.

A droga Jezusowa nigdy w gruncie rzeczy nie jest łatwa...

Zawsze jest zaznaczona Krzyżem...

To musimy mieć wciąż na uwadze: Krzyż musi być wpisany w biografię każdego chrześcijanina, a szczególnie w biografię księdza.

Człowiek, a zwłaszcza kandydat do kapłaństwa, który by miał tak łatwą drogę i jeszcze usiłował ułatwiać tę drogę, który by jakoś unikał tego krzyża, to właściwie nie wykorzystuje szans, które mu Jezus daje. Może mu daje te szanse łatwego powołania, ponieważ miał on bardziej wiotkie, kruche podłoże naturalne? Może Jezus, tak jak św. Paweł mówił o dziecku, które karmi się mlekiem, a potem, gdy dorośnie, żywi się pokarmem...

mi naturalnymi, nawet gorzkimi, widząc wiotką konstytucję takiego upatrzzonego przez siebie kandydata, nie daje mu ciężkiego krzyża... Być może to jest tajemnica, ale być może Jezus powoli przyzwyczajają go do tego krzyża?

Ale ten człowiek o łatwym powołaniu powinien właśnie niemalże sam szukać Krzyża Jezusowego i dźwigać go! *Bo kto chce iść za Mną niech zaprze się samego siebie i weźmie krzyż na każdy dzień i naśladuje Mnie.* Nie ma innej drogi! Tylko przez Krzyż!

Krzyż musi być zdecydowanie wpisany w biografię każdego księdza.

Toteż jeżeli ktoś z kandydatów do kapłaństwa mówiłby, że „taki krzyż jest zbyt ciężki”, „nie wiem czy go udźwignę” – to wobec tego widocznie nie jest na dobrej drodze. Bo inni to się cieszą, jakoś się radują, a ja nie przeżywam tej euforii, tej radości jakiejś. Nawet z tej liturgii, czy z moich obowiązków. Nie przeżywam tej sielanki... Otóż, bracie drogi, nie martw się tym. Jeżeli masz dobrą orientację, jeżeli twoja wola jest skierowana na to, by wypełnić wolę naszego Pana, żeby odpowiedzieć na Jego wezwanie: „tak” – to bądź spokojny, jesteś na dobrej drodze.

Tylko właśnie, zarówno człowiek o łatwym powołaniu, jak i też ten o trudnym powołaniu, muszą dążyć do tego, by odpowiedzieć Jezusowi szczerze: Tak!

Licząc zawsze na Niego...

Panie, przeraża mnie to kapłaństwo, przeraża mnie ten krzyż, ale jeżeli Ty powołujesz, to prze-

cież dasz mi siłę, dasz mi moc! Więc na Ciebie liczę i tylko na Ciebie!

Oto, moi przyjaciele drodzy, wtedy ten kandydat jest właściwie na dobrej drodze. Ale oczywiście, że ten wybór, to „tak” musi być właściwie powtarzane niemal codziennie. Taka już jest struktura i taka natura człowieka, że wartości duchowe musi wybierać codziennie, musi odnawiać to „przymierze”. Gdzie idzie o wartości materialne, wystarczy raz je zdobyć, włożyć do portfela albo do szuflady i potem po dziesięciu czy piętnastu latach (jeżeli jakaś siła zewnętrzna nie naruszy tego) można to wszystko znaleźć na miejscu. Gdzie idzie o wartości moralne – tam jest inaczej. One są dynamiczne, trzeba wciąż na nowo je zdobywać. One nie dadzą się zamknąć w żadnej szufladzie i w żadnej szafce, w żadnym portfelu. Trzeba na nowo wciąż je zdobywać, na nowo wybierać, na nowo mówić: „tak”. Jerzy Liebert, poeta katolicki, napisał takie słowa: *Żadnych objawień nie potrzeba moim oczom i uszom, dokonawszy wyboru na zawsze, co dzień wybierać muszę... Co dzień wartość muszę wybierać!*

Tylko właśnie tutaj zawsze będzie konkurowała z tą orientacją nasza prymitywna egocentryczna i egoistyczna tendencja. Wszyscy jesteśmy skłonni do afirmowania swojego „ja”, swoich przyjemności, zdobyczy, zadowolenia. Jednym słowem: z całą tą plejadą różnych przybudówek miłości własnej. Egocentryzm! Egoizm! Proszę zauważyć, jak tutaj, tak wszędzie, a szczególnie tutaj, łatwo można ulec skrzywieniu, wykolejeniu. Gdy taki

kandydat na kapłana ustawia się tylko w ten sposób: będę miał tutaj dużo przyjemności, to mi leży, teraz będę miał spokój, teraz będę miał stabilizację, teraz wchodzę na drogę o takiej stabilnej orientacji... Teraz ja i znów koło mnie.... Otóż, przyjaciele drodzy, to pułapka. To pułapka!

Na pierwszy plan zawsze w życiu chrześcijańskim, szczególnie na płaszczyźnie powołania do kapłaństwa, powinniśmy wchodzić na orbitę, na orientację: Ty, Boże, Ty, Jezu – żebyś był TY uwielbiony, żebyś był TY wychwalony, żebyś był TY głoszony, żebyś był TY zadowolony, żebyś TY był przepraszony, żebyś był TY wychwalony i uświęcony! Żeby TWOJE Królestwo przyszło do mnie i mego otoczenia i na mój świat! By TWOJA wola spełniała się we mnie i w moim otoczeniu, i na moim świecie! Nie moja, nie moja wola, nie moja chęć, tylko TWOJA wola....!

Proszę zauważyć, to jest to subtelne rozróżnienie. Niektórzy czasami tego nie czynią i zaczynają się obracać wokół siebie. Jak satelity wokół słońca, wokół własnego ja, tego ciasnego ja! Wokół rdzenia tego ciasnego egoizmu i egocentryzmu. Proszę zauważyć jak niektórzy idą (i świeccy, ale i czasami duchowni), do sakramentu pokuty. Po co? A no po to, żeby uspokoić swoje sumienie, żeby znaleźć jakąś pociechę, znaleźć, dajmy na to (choć to nie jest motyw wcale do odrzucenia) wsparcie dla siebie. Żeby przeżyć jakąś radość, żeby przeżyć zadowolenie...

Rozumiecie kochani, skierowanie ku sobie!

Motywy skierowane ku sobie: że ja, o mnie, pode mnie, ku mnie... A przecież, gdy się modli-

my, to przede wszystkim do Niego, by On był uwielbiony. A potem ja mogę też coś otrzymać, bo On obiecał, że ja coś mogę otrzymać. Ale w gruncie rzeczy, w pierwszym rzędzie, uwielbiam Cię, modłę się do Ciebie, bo Jesteś Wielki, Nieskończony, bo Jesteś Samą Miłością. Idę do sakramentu pokuty nie po to, by siebie uspokoić, żeby uspokoić swoje sumienie, tylko idę po to, żeby z Tobą, Panie, nawiązać pełniejszą więź, żebyś Ty nie był zasmucony, żebyś Ty nie był znieważony.

TY! TY! TY!

Dla Ciebie! O Tobie! Ku Tobie!

Oto jest orientacja chrześcijańska i w ogóle orientacja naprawdę wierzącego.

Toteż, jeżeli ktoś się wyrazi w ten sposób: idę znaleźć pokój sumienia, idę do seminarium, żeby znaleźć też swoją drogę, jak ktoś mówi „swoją drogę życia”, jeżeli w podtekście (bo to wyrażenie nie musi być adekwatne) ja jednak orientuję się na Niego, na Jego wezwanie, na Jego chwałę, na Jego wolę – to już jest właściwie w porządku.

Ale gorsze jest jak ktoś się zacznie wiercić wokół siebie i siebie tylko obserwuje: że ja się teraz dobrze czuję, a teraz źle, a teraz przeżywam radość, a teraz smutek, a teraz znów coś mi dokuca, a teraz znów!...

Hipochondria psychiczna!

Hipochondria moralna wokół siebie. Tylko ja i ja!

I otóż wtedy ten człowiek nie odpowiada na to wołanie Jezusa – Pójdź za Mną! Nawet, zwróćmy uwagę na to, że nie powiedział: Pójdź za moją Ewangelią, Pójdź za moimi zasadami moralny-

mi. Nie powiedział nawet: za moją Miłością, tylko powiedział: Pójdź za Mną! Za Osobą! Potem ex post możemy, bardzo słusznie, za teologami współczesnymi i dawnymi, rozumować, że gdybyśmy poszli tylko za Jego nauką, tylko za Jego – nazwijmy Ewangelią i to wtedy, gdy ją zrozumiemy, gdy odkrywamy w niej jakąś pełnię wartości, to moglibyśmy do końca życia nie powiedzieć Mu: „tak”! Bo przecież wiemy i wiedzieć winniśmy na przyszłość, że do dna Ewangelii nie zrozumiemy. Ani prawdy, ani zasad etycznych, które Jezus przyniósł. Gdybyśmy bowiem do dna zrozumieli te prawdy i te zasady, które On przyniósł, to byłyby to prawdy i zasady ludzkie. A jeżeli Jezus jest Boski, jeżeli jest Bogiem, to wtedy w Jego słowie, w treści Jego nauki, w Jego zasadach tkwi sedno, którego nikt ci do dna nie wyjaśni, bo gdyby wyjaśnił, to wtedy Jezus byłby tylko człowiekiem. A On jest Bogiem. Otóż można i trzeba na Jego wezwanie „Pójdź za Mną” – pójść za Nim, za Jego Osobą.

On, jako Osoba, na pierwszy rzut oka, na zasadzie intuicji, jakiejś łaski wiary, pociąga za sobą ludzi dobrej woli. I Apostołowie nie znali jeszcze Jego Dobrej Nowiny. Proszę, na początku zaraz, gdy spojrział na nich, coraz bardziej, pełniej zrozumieli także i te prawdy, i te zasady, które Jezus głosił. Jednym słowem: całą Dobrą Nowinę. I tego im jeszcze mało było, tego obcowania z Panem Jezusem, jeszcze był potrzebny Duch Święty, zesłany przez Jezusa, ażeby oni jeszcze pełniej zrozumieli. I bądźmy szczerzy, przecież do

dna i po Zesłaniu Ducha Świętego Apostołowie nie zrozumieli Ewangelii, Dobrej Nowiny, ale poszli za Nim. On powiedział: Pójdź za Mną! Nie za moją ideą, tylko: Pójdź za Mną... I poszli za Nim.

Otóż, przyjaciele drodzy, w analizie swojego powołania, czy powiedzmy w rozważaniu swego powołania, ten moment orientacji personalnej trzeba koniecznie wpisać.

Czy idę za ideą, czy idę za zasadami, czy idę za Jezusem...

Otóż powinienem iść za Jezusem, za Jego wezwaniem. I gdy pójdziemy za Jezusem, oczywiście trzeba wypełnić warunki Jego wezwania, które jest absolutne i niepokojące...

Czytamy w Ewangelii, że On mówi bez żadnych warunków wstępnych, bez żadnych układow: Pójdź za Mną! Słyszeliśmy dziś opis tej sceny z Ewangelii św. Mateusza, jak powoływał pierwszych uczniów od sieci. Zostawiają natychmiast i idą... Jezus cieszy się z takich. W innym znów miejscu, u św. Mateusza, czytamy takie słowa: *A potem wyszedł i ujrzał celnika imieniem Lewi, siedzącego przy cle i rzekł mu: „Pójdź za Mną”, a opuściwszy wszystko powstał i poszedł za Nim.* Proszę, opuściwszy wszystko bez żadnych oporów. A gdy któryś z wezwanych powiedział - „Panie, ja jeszcze pójdę pogrzebać swojego ojca”, pamiętamy jak Jezus odpowiedział: *Niech umarli grzebią umarłych, a ty pójdź za Mną.* Jezus w ten sposób chciał oczywiście ukazać siebie jako Najwyższego Generała, Generalissimusa, który żołnierzowi, swojemu stworzeniu, swemu dziec-



ku mówi: Pójdź za Mną. Nawet niech pogrzeb inni załatwią, inni ten obrzęd odprawia, a ty Pójdź za Mną! Wszystko musi ustąpić wobec Jego wezwania. Wszystkie więzi powinniśmy pozrywać. Nie muszą to być więzi zrywane w sposób efektowny, tylko w sposób przynajmniej intencjonalny.

Gdyby Jezus powiedział na przykład mi dzisiaj: zostaw swoją matkę w ogóle, nie utrzymuj z nią żadnych więzi, ja to powinienem zrobić. Nawet muszę zerwać więzi z matką swoją, którą bardzo kocham, czy bardzo kochałem. Muszę to zrobić, gdy On wzywa, muszę zostawić! Jeśli by On powiedział: zostaw tę bibliotekę, zostaw te książki, zostaw to duszpasterstwo akademickie, zostaw to wszystko i „Pójdź za Mną”, jeżeli mi jednoznacznie to powie, muszę to zrobić! A jeżeli tego nie powie, nie usłyszę takiego głosu, muszę być w stanie gotowości,... to znaczy muszę zawsze zachowywać dystans między wszystkimi rzeczami i osobami, z którymi utrzymuję więź, ażeby na Jego wezwanie opuścić wszystko, zostawić bez oporów i bez żalu. Owszem, mam książki, nawet bardzo kochane; mam przyjaciół, bardzo kochanych; mam kochane duszpasterstwo; mam tamto czy inne, ale jeżeli powie: zostaw wszystko, muszę zostawić. Ja muszę być na to przygotowany. Ja muszę już dzisiaj zachować dystans, żebym potem nie jęczał, nie skomlał, nie narzekał, nie oburzał się, nie buntował się. „Pójdź za Mną” – i muszę iść!

Rozumiecie, przyjaciele drodzy, możecie posiadać pewne rzeczy jako środki do celu, ale posia-

dać tylko. Z pewnym dystansem, w stanie gotowości – takie jest wezwanie Jezusa. A jeżeli ktoś mówi, że ja jeszcze pójdę tamto czy inne załatwić, to Jezus powie: *ten nie jest Mnie godzien*. I oto, proszę, znów w Ewangelii św. Łukasza fragment: *I zapytał go dostojnik pewien mówiąc: – Nauczycielu dobry, co mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne? A Jezus mu rzekł – Nikt nie jest dobry, jeno Bóg. Znasz przykazania? A on rzekł: – Znam. Wszystkiego tego strzegłem od młodości mojej. Posłyszawszy to Jezus rzekł: – Jednego ci jeszcze nie dostaje – sprzedaj co masz i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebiesiech, a przyjdź i pójdź za Mną. A on usłyszawszy to zasmucił się, był bowiem bardzo bogaty. I teraz Jezus, widząc go zasmuconym rzekł: Jakże trudno tym, którzy mają bogactwo wejść do Królestwa Niebieskiego. Jak trudno! Jak trudno tym, którzy zawarli związek małżeński z wartościami materialnymi, wejść do Królestwa Niebieskiego.*

Otóż, drodzy, w naszym rozważaniu powinniśmy te współczynniki mieć na uwadze.

I jeszcze jedno dodam z doświadczeń i nauk bardzo mądrego naszego ojca duchownego, ojca Dąbrowskiego, który kiedyś tym niespokojnym, zwłaszcza skrupulatom, którzy wciąż pytali, czy oni są powołani i bez końca męczyli (czasami zanudzali) przełożonych i spowiedników, odpowiadał: jeżeli znalazłeś się w seminarium to już jest 90% za tym, że masz powołanie, że masz wezwanie. A ten mówi: A, proszę księdza, mnie się wydaje, że stało się to jakoś przypadkowo albo: zna-

lazłem się tutaj pod naciskiem, osaczony zostałem przez pewne okoliczności, naciski mamy, taty, tam jeszcze jakaś okoliczność, że przyszedłem. Wtedy odpowiedziałby ojciec Dąbrowski na pewno tak: Pan Bóg w powołaniu ciebie posługuje się czasami nawet właśnie takim sposobem osaczenia. Zapuszcza sieć i ta ryba się trzepocze, nie chce wyjść z tej wody. Co prawda wcale nie chce się znaleźć w tej sieci, ale się znalazła przy pomocy takich zewnętrznych, nie nadprzyrodzonych okoliczności. Wydawałoby się, że zgoła nie było jakiś mistycznych, głębszych przeżyć religijnych i znalazł się tu. I z tym się chyba trzeba zgodzić. To chyba jest głos Pana, głos mądrości Bożej. Ilustracja. Na Górze Kalwaryjskiej: Szymon z Cyreny prawie nie miał nic wspólnego z Jezusem, może coś słyszał, a może i nie słyszał. Jako ciekawski przyszedł na tę drogę. No i cóż, kazano mu nieść krzyż na pewnym odcinku. Czujemy, że się bronił. Jak to, ja, przechodzień, co ja mam z tym wspólnego? Kazano mu, zaczął dźwigać ten krzyż pod ciśnieniem, pod groźbą. No i cóż się stało? Otóż, gdy wziął ten krzyż na swoje ramiona, miał okazję spojrzeć w oczy skazańcowi. Spojrzał w oczy, w twarz i coś się stało. Ujrzał, przejrzał... i... rewolucja. Natychmiastowa rewolucja! I Szymon chętnie już teraz niósł ten krzyż, z radością nawet, na szczyt. Od razu się nawrócił. Od razu stał się sympatykiem, uczniem, niemalże apostołem Jezusa. Okoliczności zewnętrzne, zgoła nie nadprzyrodzone, tak ustawiły go, że on spojrzawszy Jezusowi w twarz i został olśniony.

Otóż niektórzy z was może się trochę tak przypadkowo znaleźli, pod pewnym ciśnieniem, ale jeżeli teraz spojrzą w twarz Panu Jezusowi, jeżeli nastawią uszu i szczerze posłuchają Jego głosu i słyszą, a przełożeni to jeszcze potwierdzą, że raczej tak i usłyszą ten głos, wtedy, bracie drogi, nie rozdrabniaj się na analizy, na wątpliwości, na szukanie wciąż, zwłaszcza na wiercenie się wokół własnego ja. Wyjdź z tego zakłętego kręgu, z tego kwadratowego koła. Wyjdź na tę trasę, nie wierć się wokół siebie. Na trasę! Za Nim! Weź krzyż na każdy dzień, jaki na ciebie włoży, zaprzyj się samego siebie, tego egocentryzmu i egoizmu. Właśnie zostaw to i idź za Nim!

I wtedy, przyjacielu drogi, no cóż, czy będziemy uprawiać propagandę? Tutaj będziemy mówić: wtedy będziesz opływał, będzie ci tak dobrze, itd.? Tak, można i o tym pomyśleć, bo nawet sam Pan Jezus o tym powiedział – proszę, posłuchajmy... *Irzekł Piotr: Otośmy opuścili wszystko i poszli za Tobą. A On im rzekł: - Zaprawdę powiadam wam, nie masz nikogo, kto by opuścił dom albo rodziców, albo braci, albo żonę, albo dzieci dla Królestwa Bożego a nie otrzymał daleko więcej w tym życiu, a w przyszłym wszystko: żywot wieczny.* Właśnie. Możemy i na to liczyć, przyjaciele drodzy, możemy.

Chociaż to trudna orientacja: przyjść do Niego nie dlatego, że coś otrzymamy, że coś nam da, że On jest Najwyższą Wartością i że On nas woła po imieniu: Pójdź za Mną!

Panie Jezu, dziękujemy Ci, że i my, starzy kapłani, możemy odnawiać tę deklarację, chociaż ćwierć głosem czy półgłosem: Tak, idę za Tobą! Gdyby to tylko raz w życiu się wydarzyło, byłibyśmy jacyś zubożeni, a tak *dokonawszy wyboru na zawsze, co dzień wybierać muszę*. Odnawiam się co dzień. Nasycam swoje przymierze z Tobą, nową Krwią odżywczą i coraz pełniej jednoczę się z Tobą. Dzięki Ci za to, Panie. I za wszystko, czego jeszcze nie pojmujemy, nie rozumiemy, ale z Tobą i w Tobie wiele zrozumiemy i wiele, jak Ty powiedziałaś, radości i szczęścia doznamy.

Dzięki Ci, Panie, za to!



## 2. MIŁOŚĆ

Ze spotkaniem z Panem Bogiem Egzystencjalnym, Osobowym nawet nie jest tak źle, nawet może być bardzo dobrze, jeśli usiadziemy tak jak Maria w Betanii – u stóp Jezusa – w kaplicy, czy gdziekolwiek i wystarczy, że będziemy odczuwali czy przeżywali dzisiaj Jego obecność, uświadamiali sobie, że oto jest ze mną...

I żebyśmy nie pozwolili narzucać swoich refleksji Jemu, tylko żebyśmy więcej słuchali.

Bo modlitwa to też słuchanie, a może nawet przede wszystkim słuchanie i odpowiedź, krótka odpowiedź na to słuchanie.

Otóż On ma bardzo dużo nam do powiedzenia, a więc raczej Jego słuchajmy. I w takim klimacie nie męczą się tak ludzie, przeciwnie, nawet się rozprężają wewnętrznie, napromieniowują się. Wchodzi w ich żyły otucha. Człowiek lepiej jest odżywiony wewnętrznie, lepiej się czuje nawet i fizycznie. Toteż z jednej strony, przyjaciele moi, pozwólcie na jakiś relaks typu rozprężenia świadomego.

Pamiętajmy, że milczenie ma doniosłą rolę. Pokryty jesteś pyłem pustych słów. Obmyj się w strudze milczenia. Tylko żeby to milczenie nie było ciasne, jałowe, nie wiadomo co. Wtedy mężczy takie milczenie. Otóż milczenie musi być nasycone, napromieniowane Panem Bogiem. Wtedy nie męczycie się, kochani. A jeśli się trochę zmęczymy, to też nie jest źle. Byleby tylko percepcja i ta więź z Panem Jezusem na tym nie ucierpiała. Otóż nam chodzi nie o swoje szlachetne ja, nie o swoje szlachetne ciało i swój wyczynek.

A teraz, drodzy, zostawilibyśmy wielką lukę, czy białą plamę w naszej rewizji życia, w naszych konfrontacjach, czy, nazwijmy to, w tych dniach skupienia, jeślibyśmy nie wzięli, że tak można się wyrazić, na warsztat najwyższej wartości moralnej jaką jest Miłość.

Tego dowodzić nie trzeba. Nawet nasi koledzy z pierwszego roku wiedzą o tym, że Miłość jest najwyższą wartością moralną i że właściwie wszystko ma prowadzić do Miłości. Trójca Przenajświętsza jest tym, można by powiedzieć ogniskiem, absolutnym ogniskiem Miłości. Ojciec kocha Syna, Syn kocha Ojca. Duch Święty stanowi więź osobową pomiędzy Ojcem i Synem jako uwielbienie Miłości.

I otóż stamtąd, z tego Słońca, z tego Centrum naszej galaktyki ludzkiej, przybywają te promienie, iskry do naszych serc. I czegoś chcą? Jezus mówił jedno, aby ten ogień był zapalony, żeby ogarnął wszystkich, a zwłaszcza rzecz jasna kan-



dydatów do kapłaństwa i Jego kapłanów. Wszyscy jesteśmy wezwani do miłości. Zadaniem człowieka jest właśnie realizacja miłości. Święta Teresa, umierając, zupełnie słusznie powiedziała, (o czym sami się przekonamy na pewno) do sióstr ją otaczających: Siostry wierzcie mi, jedynie miłość ma znaczenie, jedynie miłość ma wartość. I to jest prawda. Wszystko zostawimy, wszystkie swoje mądrości, a tym bardziej wszystkie meble, wszystkie przywiązania, wszystko. Ale poniesiemy ze sobą to, co stanowi o naszym być, poniesiemy ze sobą miłość.

Jeżeli z miłością będziemy przekraczali próg tego świata, z miłością zanurzymy się w tę Miłość i przeżyjemy może jeszcze, daj Boże, w chwili śmierci radosną ekstazę niemalże wyjścia z siebie, z tego czterowymiarowego świata, aby się zanurzyć w tym n-tym wymiarze, a właściwie w tym Wymiarze bez wymiaru, w tej Absolutnej Uszczęśliwiającej Miłości. Ku temu jesteśmy wszyscy powołani. I dlatego Jezus tak zdecydowanie, tak mocno błaga, niemalże na klęczkach prosi o to, żeby jego wyznawcy, zwłaszcza Jego apostołowie – kapłani, mieli miłość ku sobie.

Chociaż na ten temat, moi drodzy, dużo słyszeliśmy, zapisaliśmy wiele cytatów, słuchaliśmy tych wezwań na kazaniach, na rekolekcjach, może nawet czytaliśmy jakieś rozprawy, dzieła na temat miłości. Używaliśmy wielkich słów. Wyrażaliśmy te treści także może poezją albo czytaliśmy poezję, to uświadamiamy sobie, żeby wypowiedzieć tę Wartość, właściwie nie ma słów. Jąkamy

się, uciekamy się do symboli i do mowy poetyckiej. I tamta nie odtwarza adekwatnie tej treści. To wszystko wiemy. I jeszcze usłyszymy wiele wielkich słów na ten temat. Wiele adhortacji, wezwań, pochwał miłości i tym podobne. Drody, znamy ten 13 rozdział św. Pawła z listu do Koryntian – Pochwała Miłości. Znamy i co? I wciąż ogromny deficyt miłości do Pana Boga i do człowieka, ponieważ jak św. Jan mówił, zresztą Jezus też mówił, że sprawdzianem miłości do Pana Boga jest właściwie miłość do człowieka. Tak, dosłownie tak św. Jan mówi: *Jak możesz kochać Boga, którego nie widzisz, jeżeli nie kochasz bliźniego, którego widzisz*. Otóż sprawdzianem, może nawet punktem wyjścia miłości do Boga jest miłość do człowieka. I otóż, mimo wszystko, deficyt, straszny deficyt!

O deficycie miłości w świecie laickim Różewicz mówi: *Ocieramy się aż do krwi, a warczymy jak psy, jak wilki na siebie*. To jest znamienne, ale niestety i w świecie chrześcijańskim, w świecie, co tu dużo mówić, bądźmy odważni, kapłańskim nawet, obserwujemy zjawiska straszne. Nawet zjawiska antymiłości. Mało znieczulica, ale gniew noszony długo, tolerowany, zazdrość, nienawiść, lekkomyślne posądzania, sądy, wyroki, nawet krzyżackie, inkwizytorskie wyroki na ludzi, nie mówiąc o różnych uprzedzeniach, itp. Może zeknęliście się, nie powinniście się gorszyć, tylko powinniście się zdobywać na jakiś zryw, gdy ujrzycie coś z piekła. Na przykład na plebani: wikary, proboszcz. Nie rozmawiają ze sobą całymi

tygodniami. Nie rozmawiają po ludzku. Jeżeli idą potem do ołtarza to jak to jest? To jest przerażające! Jeżeli Jezus powiedział po ludzku: *Jeżeli ofiarujesz dar swój do ołtarza, a wspomnisz, że brat twój ma coś przeciwko tobie, to idź najpierw pojednać się z bratem, a potem ofiaruj dar do ołtarza*. Mówił Jezus do ludzi na pograniczu Starego Testamentu, a w Nowym Testamencie, Testamencie Miłości jest to ewidentne, oczywiste. Trzeba z miejsca to napięcie rozładować. Chociażby nawet kosztem ofiary, o czym właściwie jeszcze powiemy. My, którzy chcemy realizować miłość bez ofiary, chcemy żeby ona sama przyszła, czy przyleciała jak rajski ptak, żeby usiadła i żeby nas lechtała, żeby nam śpiewała, żeby nam umiała życie. Nie o taką miłość chodzi. I w ogóle nie to jest miłością. Czasami trzeba do miłości podchodzić na klęczkach, przez kenozę, jak Jezus to robił. Na klęczkach się podchodzi, a żeby tę miłość wyzwolić i żeby ją zdobyć. Dosłownie: na klęczkach! A jeden z drugim u nas kapelusza nie chce uchylić, bo to albo tamto. Ręki wyciągnąć, bo to ubliża jego godności, bo to taki czy inny.

Jak to na klęczki, na kolana? Dlatego o kapeluszu będziesz się certolił, czy o wyciągnięcie dłoni. Otóż takie rzeczy, przyjaciele drodzy, zachodzą i to jest ogromny deficyt miłości!

Gdzie przyczyny? Wciąż winniśmy się nad tym zastanawiać, szukać przyczyn. Bez wątpienia, dotykamy tutaj znów tajemnicy. Zarówno tajemnicy miłości, tajemnicy łaski, jak i misterium in

quitatis, jak mówił św. Augustyn, tajemnicy przewrotności ludzkiej.

Tutaj takich wymiernych, określonych przyczyn może nawet nie odkryjemy. Ale jednak pewne zjawiska, nachylenia, orientacje a zarazem także i właśnie te pewne przyczyny możemy odkryć. I oto, bez wątpienia może, podstawą, główną przyczyną jest brak wiary, żywej wiary. Żywa wiara właściwie łączy się z miłością. Nie ma właściwej, żywej, chrześcijańskiej wiary bez miłości. Wiara i miłość jednoczą się ze sobą. I stąd też jakaś regresja wiary, jakiś jej deficyt, oczywiście wywołuje zaburzenia w dziedzinie miłości.

Ale może wejdźmy jeszcze na płaszczyznę takich bardziej widocznych fenomenów tego zjawiska. Otóż wydaje się ważnym w tej dziedzinie fakt niejasnego albo niewłaściwego pojmowania miłości. Tutaj, kochani przyjaciele, z kandydatami do kapłaństwa, z zaawansowanymi w teologii i psychologii, oczywiście nie będziemy wchodzić w podstawowe, elementarne rozważania. Ale niektórzy na niższych latach może będą mieli nachylenia w tym kierunku, że gdy się wymawia słowo miłość, to u niektórych kojarzy się to (bo u ludzi świeckich kojarzy się to z reguły) na płaszczyźnie mężczyzna i kobieta. To jest miłość, czyli erotyzm. To też jest miłość. Pewnie, że jest postać miłości erotycznej, ale nie o taką chodzi Jezusowi. Nie ta miłość jest tą podstawową, fundamentalną wartością. Gdy mówimy o miłości, to u większości ludzi, nawet dojrzałych, kojarzy się to z uczuciem. Miłość to uczucie. I to pokutuje

nawet u księży, nawet u wybitnych pisarzy. Nawet u takiej pisarki jak pani doktor Sujak. Tam też w kilku przypadkach zauważyłem, że ona może nieświadomie, ale redukuje miłość niemalże do uczucia miłości, w gamie tych wielu uczuć. O tym i psychologia uczuć mówi. Jest uczucie miłości, bardzo doniosłe, niewątpliwie naczelne. I uczucia pozytywne trzeba wyzwalać i pielęgnować, a tym bardziej uczucie miłości. Ale uczucie miłości nie jest jeszcze tą miłością, której uczy nas Jezus, do której wzywa nas Jezus w Ewangelii. Owszem uczucie tak, ale miłość bez tego zażęzonego epitetu – uczucie. Miłość jest czymś szerszym i głębszym. Miłość bez tego epitetu opiera się przede wszystkim o rozum i wolę, a więc o stabilne psychiczne władze człowieka. Uczucia nie są stabilne, uczucia mają swoje amplitudy, zmieniają się. Uczucia w ogóle dążą do linii zerowej po pewnym wzlocie, po wyskokach.

Natomiast miłość bez tego epitetu opiera się w psychice człowieka właśnie na rozumie i woli. Toteż nawet ateistyczny pisarz, Erich Fromm, w książce „O sztuce miłości” powiada, że: *Miłość to jest postawa charakteru*. I warto by ten rozdział nawet przeczytać. Warto żebyście, moi kochani, przy jakiejś okazji, przeczytali w ogóle tę książkę. Oczywiście filozofia Fromma jest ateistyczna, niestety, ale po odrzuceniu tego ateistycznego wstępu rzetelnie opisuje fenomeny, a nawet z rozdziału o miłości Boga można się czegoś nauczyć. Bo człowiek ten, który jakkolwiek nie doszedł do chrześcijaństwa (może dojdzie kie-

dyś) wydaje mi się rzetelny. Z szacunkiem traktuje religię i ludzi wierzących. Stąd też rozdział „O miłości Boga” jest sensowny. Można się tam niemało nauczyć, oczywiście krytycznie trzeba czytać. I mówi Fromm, że nawet miłość erotyczna między mężczyzną a kobietą, ta prawdziwa miłość, nie pożądanie, nie jakaś przejściowa euforia, musi się opierać o wolę. Mówi, że to jest postawa woli, akt woli. Jeśli bowiem miłość, nawet mężczyzny i kobiety, redukowałaby się tylko do uczuć erotycznych, to Fromm także pyta, choć czasami duchowni nie pytają: po co wtedy ślubowanie? Bo uczucie przychodzi i odchodzi. Więc jak ja mogę ślubować dochowanie uczucia, kiedy uczucie w pewnych sytuacjach jest prawie niezależne od naszej woli.

Natomiast ja mogę ślubować postawę, orientację woli, ja chcę żeby ci było dobrze, chcę żebyś posiadał dobro. Stąd Fromm podkreśla, zupełnie słusznie, że punktem wyjścia dla miłości jest spostrzeżenie wartości. Z filozofii będziecie się uczyć, a może już ten aforyzm przyswoiliście: *nil volitum nisi precovitum* – człowiek nie może tego chcieć, czego nie poznał. Tylko tego chce, a chcenie to jest funkcja woli, co poznał jako wartość.

Otóż stąd wniosek: im lepiej poznajemy jakąś wartość, tym bardziej, nawet spontanicznie, samorzutnie chcemy, nachylamy się na to. A poznawanie wartości to funkcja, oczywiście także i wzroku, jeśli idzie o wartości materialne. Ale jeśli chodzi o wartości duchowe to poznanie odbywa się instrumentem rozumu. Rozumem pozna-

jemy. W ślad za poznaniem wartości idzie, mówi Fromm, postawa szacunku, a potem życzliwość, troska. I to nie troska w postaci krótkofalowej, żeby było ciepło, żeby był ogrzany naskórek i żebyś w tej chwili przeżywał nasycenie. Troska, ta głęboka troska, jest długofalowa. Może ona nawet wymagać, zakazywać, karcnąć.

Łączy się z nią odpowiedzialność za drugiego człowieka, jeśli idzie o stosunki międzyludzkie. A wreszcie na szczycie tych elementów, czy komponentów miłości, znajduje się poświęcenie, ofiara i gotowość do poświęcenia i ofiary. Fromm nie lubi tego słowa. To nie jest nieporozumienie, on nie jest chrześcijaninem. Czyni nawet zarzut, że chrześcijanie właśnie wprowadzili to pojęcie ofiary i to zaciemnia w jakiejś mierze pojęcie miłości. Otóż on tego nie rozumie, gdyż zamiast ofiary używa słowa: dawanie, dawanie siebie. A właśnie to jest ofiara. To jest dawanie czegoś z siebie.

My też się zgadzamy. Bo jeżeli ja daję ochłap, zbywającą mi odzież, zbywające pieniądze – to wszystko jest martwe.

Jeżeli ja komuś daję zbywający mi czas, zbywający humor i zaczynam pokpiwać z kogoś, bo mam nadmiar humoru, to jest martwe. Żywe jest to, co jest związane z moim ja, z moją egzystencją, co dla mnie stanowi wartość, co stanowi tkankę mojego życia, co jest związane ze mną.

A więc jeżeli to daję – to może mnie boleć.

Tak, daję czas, który jest mi potrzebny, daję właśnie radość, humor wtedy, gdy mnie boli wątroba, gdy trudno mi się zdobyć na jakiś sponta-

niczny humor, czy w ogóle nie mam tego spontanicznego humoru. Daję ten grosz, który jest mi potrzebny, ale daję. To jest właśnie żywe. Daję powiedzmy coś z miłości własnej i to jest upokorzenie. To mnie boli. Upokorzyć się. Pójść i prosić o przebaczenie, czy choćby o pojednanie. To mnie boli, upokarza moją miłość własną. Ale wiem, że miłość żywi się ofiarą. I właściwie nie ma miłości bez poświęcenia, bez ofiary, bez dawania.

Uświadamiacie sobie, drodzy przyjaciele, ile tu może być nieporozumień, nawet w samym pojęciu miłości.

Prawda, a wszystkiego nawet nie powiedzieliśmy, to jest tylko szkic tych możliwych nieporozumień.

Potem dalsza przyczyna, jeśli idzie o miłość człowieka: abstrakcjonizm. Bo tutaj akcent kładziemy powtarzając za św. Janem: Probiierzem miłości do Boga jest miłość do człowieka.

Skłonni jesteśmy kochać człowieka abstrakcyjnego, człowieka, którego nie ma. Skłonni jesteśmy nawet używać wielkich słów: „kochamy człowieka, bo człowiek to wartość”, bo „człowiek to brzmi dumnie”, bo człowiek to..., bo człowiek... A niektórzy kaznodzieje przechodzą ten próg i mówią: „kochamy ludzkość”. Ludzkość? Abstrakcja. I czasami pod wpływem takiego kaznodziei, pod wpływem takiej lektury rzeczywiście wzruszymy się, przeżywamy i czasami nawet aż łzy nam się kręca. Tak, kochamy tę ludzkość, kochamy ten naród, kochamy tego człowieka, przytulamy go do piersi, do serca...



Kochany człowieku, kochana ludzkości, kochany narodzie.

Wychodzimy ze świątyni, czy z sali, ktoś nam stanął na drodze, przeszkadza nam w przejściu i... już wystarczy. I chcemy powiedzieć za ateistą – won z tym człowiekiem, won z tym, który tu stoi i mi zawadza.

Albo tam ktoś mi się nie podoba, ktoś użył niewłaściwego słowa, ktoś w moim widzeniu osądza mnie źle, ktoś w moim widzeniu, jakiś przełożony, niesłusznie zwrócił mi uwagę. Jak oburzamy się, warczymy. Won z tym człowiekiem, który brzmi dumnie.

To jest abstrakcja! Łatwo kochać. Ale tego konkretnego człowieka, zwłaszcza tego najbliższego, tego w celi, tego w zakładzie wychowawczym, czy w takim zakładzie jak seminarium duchowne, czy tego w domu, w mieszkaniu, czy tego przy warsztacie pracy, czy tego w zatłoczonym tramwaju, czy w zatłoczonym autobusie? Prawda? O, tego bardzo trudno kochać.

I właśnie tu powstaje ta rozbieżność. Fiodor Dostojewski w znakomitym dziele psychologicznym i etycznym, jakim jest powieść „Bracia Karamazow”, przez usta starca z Osimy (warto przeczytać i przestudiować tę książkę, a szczególnie te rozważania Osimy) wykpiwa właśnie taką miłość. Abstrakcyjną miłość do ludzkości, miłość do człowieka. Drwi sobie. I słusznie.

Otóż, proszę zauważyć, wydaje mi się, że to jest jedna z ważniejszych przyczyn tego deficytu miłości, że my uciekamy w abstrakcjonizm. Na-

stępnie, jeżeli jest prawdą, a na pewno jest prawdą, nil volitum nisi precogitum, nie można chcieć tej wartości, której się nie widzi. Nie można więc kochać człowieka, którego się nie widzi. Jeżeli to jest prawda, to miłość winna się zaczynać od sztuki widzenia człowieka. Chodzi o to, aby go możliwie dobrze widzieć, żeby mieć przenikliwy wzrok. No cóż, z reguły sylwetkę człowieka łatwo widzimy, ale to nie jest jeszcze widzenie człowieka. Przez widzenie należy rozumieć widzenie jego sytuacji, jego sytuacji aktualnej, wewnętrznej. Możliwe widzenie w kontekście tych warunków, w jakich on żyje.

Otóż oczywiście już tutaj się nasuwa uwaga, o czym nam Fromm jeszcze przypomina, że to jest sztuka.

Trzeba się tego uczyć, bo my skłonni jesteśmy być tępi i ślepi. Bo proszę, przejdźcie przez miasto. Grupa dwóch, trzech studentów, czy chłopaków stanie na środku chodnika i rozmawia ze sobą. Są sobą zafascynowani, coś opowiadają. Tłum, czy rzeka ludzi płynie, oni widzą sylwetki przesuwane się, ale oni nie widzą sytuacji. Nie widzą, że ci ludzie muszą ich omijać, że oni sprawiają trudności tym ludziom.

Analogicznie rzecz się ma w łazience. Na przykład człowiek, który po mnie wejdzie, żeby nie przeżył jakiegoś wstrząsu, czy jakiegoś upokorzenia.

Mieszkamy w pokoju, to oczywiście poważna trudność, również ja mogę mniej widzieć, mogę nie widzieć swoich współkolegów. Są to tępe ślepe typy, które potrafią, gdy w pokoju trzy osoby

nie palą, jedna pali – palić, właśnie nie widząc tego, że tamci ludzie nie życzą sobie tego palenia, że tamci ludzie źle się czują. A on może będzie się zachwycał miłością człowieka, miłością ludzkości. A tym ludziom sprawia nie tylko przykrość, ale nawet więcej niż przykrość.

Piszę list, no cóż, można też nie widzieć człowieka, do którego pisze się ten list. A więc piszę niewyraźnie, brudno, na jakimś pogniecionym czy nieestetycznym papierze, bo nie widzi się wrażliwości tamtego człowieka, do którego się pisze. Jeśliby go widział, to by odpowiednio napisał. Ponieważ mama moja z trudnością czyta mój charakter pisma, piszę bardzo wyraźnie lub na maszynie... widziałem tego człowieka.

W zakrystii trzeba też widzieć ministrantów, tych małych chłopców. Boże mój, ja sam przeżywałem, pamiętam z lat chłopięcych, chociaż tego nie umiało się sformułować, takie jakieś dziwne wrażenie, jakieś upokorzenie, że przychodzimy i proboszcz nas nie widzi. W ogóle wita się z innymi, z nami ani słóweczka, ani rzuci okiem, tak jakby nas nie było. Powietrze. Nie widzi wartości. A przecież ministrant to jest też człowiek.

Analogicznie rzecz się ma znów w zakładach wychowawczych, naukowych i tym podobnych. Widzą siebie uczniowie, przynajmniej w grupach, widzą swoją sytuację, czasami nawet bardzo dobrze widzą na zasadzie solidarności. Ale proszę zauważyć jak okrutni są czasami ci, którzy nawet fascynują się miłością bliźniego abstrakcyjnego, jak okrutni są w stosunku do swoich nauczycieli.

To może mieć miejsce nawet w seminarium duchownym. Przełożonego może się nawet tak traktować, a przełożony to też człowiek, prawda?

Może aż za dużo tych egzemplifikacji. Ale pozwólcie, mam w tym zakresie ogromnie dużo i spostrzeżeń, i obserwacji, i dramatów, i grzechów. Boże, bądź miłosiwnie mnie grzesznemu!

Otóż nie zapomnę tego przeżycia sprzed kilku laty. Z grupą studentów jesteśmy w Gdańsku, schodzimy z jednej wąskiej górki. Oczywiście młodzież jak młodzież. Z tupetem, z jakąś pewnością siebie, niemalże jak burza, jak husaria sunie z góry. A naprzeciwko nas przygarbiona staruszka dźwiga na plecach tobół. Ja szedłem dość blisko czołówki, zauważyłem tę staruszkę, podniosłem rękę, mówię: uwaga, człowiek! Wszystko się zatrzymało. Zatrzymali się i teraz dojrzeli tę staruszkę, otoczyli ją. Ona też się zatrzymała. Jakieś pytanie postawiliśmy i patrzę a z oczu tej staruszki spływają łzy. Mówi, proszę pana (byłem w cywilu) skąd taka młodzież, tacy dobrzy (bo jej ofiarowali się podnieść ten tobołek na górę)? Niech Bóg was błogosławi i łezki dalej płynęły jej z oczu. Powiedziałem młodzieży: „Patrzcie, co znaczy dostrzec człowieka w jego sytuacji, co znaczy powiedzieć jakieś przyjazne słowo, a zwłaszcza ten gest”. To jest przeżycie dla niej.

Kiedyś w konfesjonale, w katedrze, chyba w ubiegłym roku, było mniej penitentów, więc poświęciłem trochę czasu też takiej staruszce, jakiejś trochę głuchawej. Moja wina, moja wielka wina, tak jak wielu innych księży, a może moja

bardziej, bo rzeczywiście czasami my te staruszki tak trochę splawiamy, bo głucha, bo sklerotyczka, bo nie ma co z nią rozmawiać. Prawda? Kilka uwag uczyniłem, czuję, że wzruszona jest, że płacze. Mówię: dlaczego jesteś taka wzruszona, dlaczego płaczesz? Proszę księdza, bo od paru lat ktoś po raz pierwszy udzielił mi nauki na spowiedzi. Jestem bardzo wdzięczna. Pomyślałem sobie: Boże mój, nie pierwszy raz nie dostrzegaliśmy tych staruszek, można było trochę czasu im poświęcić, bo też człowiek i wartość.

Spostrzegłem wartość, nachylałem się.

Moi przyjaciele drodzy, jest tutaj ogromny teren do rewizji, czyli do przeglądu i oczywiście do wyciągnięcia odpowiednich wniosków.

Czy to są wszystkie przyczyny, które ważą na tym deficycie miłości?

Bez wątpienia nie, nie wszystkie. Ale na pierwszy plan winniśmy rzeczywiście wynieść tę wiarę, której odwrotną stroną jest miłość, a także i to nieporozumienie w pojmowaniu miłości. Zwłaszcza to separowanie, oddzielenie ofiary od miłości.

Otóż winniśmy sobie uświadomić, jeżeli ktoś nie wierzy Panu Jezusowi Chrystusowi, to niech ostatecznie wierzy Frommowi, ateście, że tak jest, że nie ma miłości bez poświęcenia, bez ofiary. Powiedzmy, że w wypadku konfliktów jest to najbardziej bolesne. Konflikty, napięcia, jakieś zastarzałe urazy. No i księża, i jeden, i drugi nie mówią do siebie i zachowują to napięcie. Może w konfesjonale, jeżeli pójdzie taki do spowiedzi (choć może właśnie zwlekać ze spowiedzią) spo-

wiednik mu powie: bracie pojednaj się. Ja nie będę przepraszał. On jest winny, proboszcz, czy tam dziekan albo odwrotnie. On jest winny, niech on mnie przeprosi. Przepraszam bardzo, Jezus nie powiedział żeby przepraszać, bo rzeczywiście, czasami nie ma co przepraszać, ale Jezus mówi o pojednaniu... A pojednanie nie musi się wyrażać przepraszaniem. Może się wyrażać taką formą: wchodzę i mówię: mój bracie, powstało między nami jakieś napięcie. Oczywiście, ja nie jestem bez grzechu, być może nie dostrzegłem pewnych wad czy może fałszywego kroku. Co mam czynić proszę księdza proboszcza, czy księdza dziekana, żeby pomiędzy nami, kapłanami, powstała zgoda. Co mam zrobić? A niech ksiądz uklęknie. Proszę bardzo, dobrze, klękam. No dobrze, powinienem to zrobić, mój przyjacielu, czy nie? Tak mi się zdaje, że tak! Ewangelium Dominum nostrum Jesum Christi. Kenoza! Jeżeli On klękał przed nami, to dlaczego my nie możemy uklęknąć? Jakoś w ten sposób.

Więc konieczność poświęcenia i ofiary w tym względzie. Oczywiście im więcej ofiary tym większa miłość.

Ponieważ tutaj wprowadziłem do kaplicy tego szlachetnego ateistę, Fromma, powiem, że on właśnie, mówiąc o tym głównym współczynniku miłości, jakim jest dawanie, wskazuje na Jezusa. Cytuję słowa: *Nie ma większej miłości nad tę, jeżeli ktoś życie swoje oddaje za braci swoich.*

Fromm wskazuje na to, że Jezus nie tylko składał taką deklarację, ale opieczętował tę deklarację.

cję czynem swoim na krzyżu. Nie ma większej miłości jak oddanie życia swego za braci swoich, ale tej ofiary szczytowej nie zaimprovizuje się. Do niej, po ludzku mówiąc, trzeba iść przez uczenie się sztuki miłości. Dlatego Fromm zatytułował swoją książkę „O sztuce miłości” twierdząc, że miłości można się uczyć, że miłości można się nauczyć. Zaczynając od widzenia człowieka, dobrego widzenia, spostrzegania sytuacji człowieka, od rzeczy małych, od małych poświęceń, od małych ofiar, aż do szczytu. Rzecz jedna, że my, chrześcijanie, powiemy, że do takich szczytów o własnych siłach dojść chyba nie potrafimy.

Fiodor Dostojewski też to pytanie zadawał w „Braciach Karamazow”.

Czy można kochać człowieka właśnie tak jak my w tej chwili tutaj widzimy, jak Jezus nam ukazał? Czy można tak kochać człowieka nie posiadając wiary w Boga i miłości do Boga? Jeżeli będziemy czytali „Braci Karamazow” to Iwan odpowiada: nie, nie można! Do takiej miłości może dojść tylko człowiek, który wierzy w Boga i który kocha Boga. Który wierzy i kocha. Więc łaska, działanie łaski. I o tę miłość oczywiście, tak jak o wszystko inne, trzeba Pana Jezusa prosić.

Drodzy przyjaciele, no cóż, trzeba kończyć. Jeszcze może tylko na marginesie dodam, że *savoir-vivre*, te kulturowe zasady bycia towarzyskiego właściwie stanowią również te ścieżki i drogi do miłości, są wyrazem miłości. Na przykład informacja. Przecież ja też muszę widzieć człowieka. W tej chwili, jeżeli nie dałem żadnej

informacji, to „pod czwórka” będą chodzić, pytać gdzie jestem, kiedy przyjdę. Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina, że tej informacji nie zostawiłem.

Moi przyjaciele drodzy, a jak z tym u naszych drogich i kochanych księży? Czasami nie wiadomo. Wyjechał. Gdzie, kiedy, co? Dotyczy to i starszych, i naszych drogich młodych wikarych. Gdy słyszymy o takich zjawiskach to wiemy, że przecież to nie tylko brak kultury, ale i uderzenie w miłość. To antymiłość. Wyjeżdża – ani proboszcz nie wie, ani parafianie nie wiedzą, gdzie się podział. Czasami i dwa dni go nie ma, aż wstyd do policji zgłaszać, prawda? A gdzie się podział ten ksiądz? A przecież cóż jest łatwiejszego (pewnie, że to kosztuje trochę ofiary) napisać karteczkę albo powiedzieć przy portierni czy gospodyni. Ale najlepiej samemu szefowi powiedzieć: proszę księdza wyjeżdżam i wtedy a wtedy wrócę. Albo tam a tam jadę. Musi wiedzieć ktoś, a zwłaszcza najbliżsi muszą wiedzieć, gdzie ja się obracam. A nuż ktoś gwałtownie będzie mnie szukał. Nie wiadomo czy jestem w Bułgarii czy w Niemczech, czy w Gnieźnie, czy w jakichś Raciborowicach. Albo dzwoniemy do niektórych księży i w ogóle nikt nie odpowiada.

O, mój Boże, a na ambonę wyjdzie i miłość głosi: „kochajmy człowieka”, „człowiek jest najwyższą wartością, kochajmy go”. Aż do łez wzrusza parafian, a dodzwonić się nie można ani z zewnątrz, ani z wewnątrz, jeszcze czasami przy drzwiach straszny pies.



Drodzy, przepraszam, ja nie robię tu żadnych aluzji, bo nie mam na uwadze konkretnych jakichś przypadków, ale takie rzeczy funkcjonują w terenie. Jeszcze może dodam, co widziałem. Kiedyś młody ksiądz, rok po wyświęceniu, czy może mniej niż rok, w zakrystii. Przychodzi babulka jakaś składać ofiarę na Mszę św., a on do niej per ty. „No ty, przyjdź kiedy indziej, bo teraz nie mam czasu, bo teraz idę po składkę, kiedy indziej przyjdź”. Ty. Tę staruszkę powinien ten młody człowiek ucałować w rękę. To straszne, a on mówi per ty. I w ogóle z tym trzeba trochę ostrożniej, bo to może być wyrazem jakiejś antykości, spoufalania się.

Więcej, drodzy przyjaciele, tego widzenia człowieka: matki, najbliższych, kolegów, przełożonych, i tych na chodniku, w kościele, w kolejce i wszędzie.

To sztuka. Od małych rzeczy do wielkich. I, drodzy, ofiary i poświęcenia, i dużo, dużo modlitwy. Boże, jaki deficyt miłości przeżywamy.

A jeżeli jestem względnie kulturalny, jeżeli jestem nawet w oczach innych grzeczny i naprawdę mam miłość bliźniego, Boże, Ty ujrzysz na sądzie i inni mnie ujrzą na swoim sądzie, jakim naprawdę byłem. I może, moi przyjaciele, którzy sądzą, że ja ich bardzo kocham, może będą zawiedzeni, może otworzą szeroko oczy i powiedzą: Boże a ja sądziłem, że on nas kochał, a on kochał siebie, a on na większą cześć i chwałę swoją mówił. A on widział w nas środek swojej przyjemności: bo mili, bo wsparcie, bo oparcie jakieś...

Boże, pomyślmy o tym, nic nie będzie tam zakryte, prawda? Staniemy i wy mnie też otoczyście, i innych kolegów, i przełożonych, i was też dostrzeżemy.

Czy to była obłuda? Czy to była konwencja tylko? Czy to była tylko przyklejona z zewnątrz grzeczność? Czy to był tylko wyraz strachu, jakiejś dyplomacji albo wyraz chytryści, cwaniactwa?

Miłości nie było. Może być tak.

Kontrolujmy siebie bezlitośnie, Jezus nam w tym dopomoże. Jeżeli będziemy tylko chcieli...

### 3. GRZECH I SPOWIEDŹ

Jezus niewątpliwie, w niemal prowokacyjny sposób wobec postawy faryzeuszów, chce nam powiedzieć, tak jak faryzeuszom mówił, że wszystko ma służyć Miłości. Wszystkie obrzędy, wszystkie modlitwy, wszystkie synagogi i wszystko, co się w synagogach dzieje, a nawet i szabat – ma służyć Miłości. Nie ludzie dla szabatu, tylko odwrotnie. Szabat dla ludzi, szabat dla Miłości.

Tak, Panie, a my wszyscy skłonni jesteśmy poświęcić Miłość dla szabatu, Miłość dla obrzędu, Miłość dla czegoś tam...

A wszystko ma służyć Miłości... Nasze spotkanie Eucharystyczne i nasz udział we Mszy św., i nasza spowiedź, i komunia św., i nasze znaki krzyża, i nasze takie czy inne modlitwy, w końcu wszystko powinno prowadzić nas do Miłości...

A jeśli nie prowadzi?

To wyprowadzi nas na mieliznę faryzeizmu.

Szabat, przepisy, formy i... pustka. I straszliwa dusząca pustka.

Jeżu – i nam to grozi. Jeżeli więc to, co czynimy w synagodze czy w kaplicy, czy w kościele, jeżeli te obrzędy, jeżeli te modlitwy nie podnoszą temperatury miłości, to kwestionujemy znów nasz stosunek do tych spraw. Kwestionujemy – coś u nas nie w porządku. Wtedy prosimy Go nie werbalnie ale de pro fundis, z całego serca o to, abyśmy odkryli w czym rzecz, gdzie tu nie gra?

Teraz, właśnie teraz, poprośmy o to.

Panie, pomnóż w nas miłość, Panie oświeć, wejrzyj, abyśmy różnymi drogami, ścieżkami zmierzali ku temu punktowi: Omega. I pomnóż miłość ku Tobie i ku człowiekowi, temu najbliższemu także, który obok mnie siedzi, który obok mnie pracuje, który mnie wyręcza, mnie uczy. Albo którego ja uczę i pomagam.

Wtedy, kiedy obserwujecie literaturę i słuchacie, a słuchacie z pewnością różnych referatów, i tak zwanych wypowiedzi, to musieliście zauważyć, że po Soborze doszło nawet do nadużycia, do mody na tak zwane „znaki czasu”. Znaki czasu... Pewno, że zawsze one były, są i będą. Tylko ludzie czasami tak jakoś, jak dzieci, cieszyli się przez pewien czas, że odkryli jakoby nowe słowo, nową formułę. A istotnie takie „znaki czasu” mają miejsce. Miały, mają i będą miały. Będą w jakiś sposób wyrażały i określały daną epokę historyczną. Jakaś fazę historyczną, zarówno w życiu indywidualnego człowieka, jak też społeczeństwa, Kościoła.

Społeczeństwo i Kościół.

Otóż bez wątplenia w życiu Kościoła, czy może w życiu chrześcijan, da się zauważyć już od dłuż-

szego czasu ten dość złowróźbny, ponury znak zanikania winy, poczucia winy w ludziach. Bo cóż, poczucie winy boli. Sumienie to jest taki instrument wszczepiony przez Pana Boga w człowieka, który tak jak ból fizyczny sygnalizuje, że coś tam źle, że jakiś bezład, nastąpiło jakieś zranienie. Zranienie głębi, zranienie istoty człowieka, zranienie jego ducha. Otóż to bolało i boli.

W związku chyba z postępowaniem medycyny, z postępowaniem w ogóle wygodnictwa na świecie, człowiek coraz bardziej boi się cierpienia, bólu. Wynaleziono dość dawno różne środki znieczulające. I otóż w tym postępie środków znieczulających weszli niektórzy z brudnymi nogami, kaloszami także na teren duszy i tam zaczęli stosować te środki znieczulające. Żeby nie bolało! Jak to czynili, jakie propozycje, jakie recepty? To coś wiecie na ten temat.

Oto psychoanaliza w szerszym pojęciu. Zygmunta Freuda, dość prostackiego ateisty, chociaż skądinąd niezły psycholog, fenomenolog, można by tak o nim powiedzieć, chociaż to niezupełnie ściśle. Otóż powiedział on swoim pacjentom cierpiącym duchowo, w swoim wnętrzu, że to jest choroba, to nie jest żaden grzech, żadna wina. To jest choroba, to jest kompleks jakiś, a więc wyciszyć to sumienie. W jaki sposób? Przez rozładowanie tego kompleksu. A jak w zasadzie rozładować? W uproszczeniu tutaj mówimy – nie ma żadnego grzechu, jest jakieś obciążenie historyczne, jakieś przeczulenie, a więc nie ma grzechu, jest tylko kompleks, jest pewne schorzenie, choroba, a więc rozładować... Z biegiem czasu ta metoda psycho-

analizy rozplynęła się, przyjęła różne postacie, różne formy, postacie mniej kliniczne, mniej nawet ambulatoryjne, ale ona w tej postaci rozwodnionej rozlała się, można by powiedzieć, po całym świecie. I dzisiaj odbywa się to wyciszenie bólu sumienia przez to hasło – „nie ma grzechu”!

Nie ma grzechu? A więc po co sobie komplikować życie. Jeżeli nie kompleks no to problemy. To jest tylko problem.

Moi przyjaciele drodzy, zauważcie – nikt nie jest samotną wyspą. Zdawało by się, że kto jak kto, ale my, chrześcijanie, oprzemy się tej fali.

Nie opieramy się!..

I na nas też przychodzi fala tej znieczulicy, fala tego zanikania poczucia winy. I u nas już na spowiedziach pojawiają się zamiast grzechów problemy. Przyszedłem z problemem. Proszę zauważyć, kochani, nie z grzechem tylko z problemem przychodzi. Owszem, oczywiście obok grzechów mogą być i problemy. Ale niektórzy penitenci zgoła już grzechów nie widzą, tylko widzą problemy. Więc jeśli problemy to rozwiązujemy te problemy.

Otóż, przyjaciele drodzy, taka fala przychodzi i na nas. Idzie, no i cóż, jak się wobec niej zachowamy? Niestety można by powiedzieć otwarcie i szczerze, trzeba otwarcie sobie powiedzieć: za mało byliśmy czujni w tej dziedzinie... A czasami byliśmy nieporadni, zwłaszcza przy równoczesnym pewnym obniżeniu wiary w społeczeństwie chrześcijańskim... Byliśmy za mało czujni...

Ale na szczęście obok nas, powołanych i wyświęconych kapłanów, istnieją jacyś prorocy, ka-

płani świeccy, bez święceń, ale tacy, którzy mówią też mocno. I mówią, nawet często nieświadomie w duchu Ewangelii, tłumaczą Ewangelię. I oto ci świeccy „kaznodzieje” i „prorocy”, zaprotestowali przeciwko tej fali sztucznego znieczulania sumienia, wygaszania winy, że wspomniemy chociażby i takich „proroków” jak Fiodor Dostojewski. Winniśmy go widzieć w tym typie pisarzy, w tej kategorii pisarzy, którzy właśnie protestowali przeciwko fali znieczulania sumienia, gdyż każdy człowiek jest grzeszny i nosi w sobie kandydata nawet na zbrodniarza. Tak jest! Aż ciarki chodzą po skórze. Ale tak jest. Każdy z nas nosi w sobie, czy może nosić, kandydata na zbrodniarza. Dostojewski powiedział to pełnym głosem.

Mówił także o tym nasz Józef Korzeniowski Conrad. Jeżeli będziecie czytali jego książki, (a warto przeczytać chociażby tego „Lorda Jima”), że jest to rachunek sumienia. To jest wstrząs! We wszystkich dziełach, w „Smudze cienia” i w innych, Conrad porusza właśnie te sprawy.

Wspomnę także mojego mistrza na płaszczyźnie pedagogicznej, Fryderyka Foerstera. Fryderyk Foerster, przedwojenny, szlachetny, głęboki, humanistyczny chrześcijanin, Niemiec, któremu Ojciec św. Jan XXIII zdażył jeszcze posłać błogosławieństwo, gdy umierał w Szwajcarii przed kilkunastu laty, pełnym głosem przestrzegął świat, wychowawców a nawet i duchownych.

Do rzędu tych „kaznodziei” trzeba też zaliczyć i Alberta Camusa. Niestety, szkoda, że był jesz-

cze ateistą, kiedy te rzeczy pisał, ale się zbliżał do chrześcijaństwa. Otóż ten człowiek w „Dzumie” (i w innych dziełach, a zwłaszcza w „Upadku”), pełnym głosem powiedział, że w tych wspaniałych ludziach, w tych wspaniałych sędziach (tak jak i zresztą Tolstoj to ukazał) często siedzi niska kreatura, monstrum czasami, ale zakłamanie, otulone zakłamaniem i rzekomo świeci światu. A tam pustka, groby pobielane, jak Pan Jezus powiedział.

Może spotkacie, powinniście spotkać też i tego ostatniego „kaznodzieję” – Dürrenmatta, szwajcarskiego dramaturga, który pełnym głosem też mówił światu. Przeczytajcie chociażby jego „Kraksę”, a tam ukaze ponure drogi, jakimi chodzą bardzo uczciwi i poczciwi ludzie, a niektórzy noszą w sobie zbrodniarzy. On wam ukaze to przez finyzyjny, głębinowy rachunek sumienia i powie: Nie ma ludzi niewinnych.

Ale najmocniej w słowach wyrazi to „nie ma ludzi niewinnych” Albert Camus – w „Upadku” i w „Dzumie” (i w innych dziełach, a zwłaszcza w „Człowieku zbuntowanym”). Nie ma ludzi niewinnych, wszyscy są grzeszni i wszyscy są w jakiejś mierze winni, znajdują się w stanie winy. Więcej, ten ostatni pisarz powiedział i taki aforyzm (zanotowałem w pierwszej chwili z pewnym wstrząsem): *Boję się ludzi niewinnych!* Boję się. Co to znaczy? Wszyscy dążymy do niewinności. Wydawałoby się dziwne: dlaczego się bać ludzi niewinnych? A on to uzasadnił. Zresztą chwila refleksji wystarczy do osobistego uzasadnienia.



Człowiek niewinny to albo niedorozwinięty, jakiś infantylny (nawet po dwudziestym i trzydziestym roku życia) albo ten, który już „wyciszył” swoje sumienie, który już może nawet zabił, zatłukł swoje sumienie. I jeden straszny, bo nie wiadomo co z niego wyskoczy i drugi jeszcze straszniejszy, na pewno kandydat na zbrodniarza. Bo właśnie hitlerowcy i członkowie stalinowskiego NKWD to byli ludzie, którym zabito, czy którzy zabili swoje sumienie. I wtedy bez mrugnięcia oka nie tylko zabijali, ale przede wszystkim pluli i deptali po piersiach ludzi. Bez mrugnięcia oka. Głaskali psy, głaskali koty, słuchali pięknej muzyki, ale braci swoich deptali bez wyrzutów sumienia. Bo sumienie już zostało zagłuszone. Cóż się stało? Przestał istnieć człowiek jako istota moralna. I właśnie Albert Camus o tym mówi. I tamci wszyscy to mówią. Gdzie się kończy poczucie winy, gdzie się zaczyna człowiek niewinny w swojej świadomości, to już nie człowiek! To już kreatura! To już człowiek ontologiczny jako byt. Ale to nie jest już człowiek-istota moralna, to jest kreatura. I dlatego taki człowiek jest straszny...

Kiedyś jeden z waszych kolegów przyszedł po radę do mnie, a ja byłem świeżo pod wrażeniem Camusa i innych. Przyszedł i zaczął oskarżać wszystkich. I przełożonych, i ordynariusza, i wszystkich. Tylko on jeden jest niewinny! On jest ofiarą jakiegoś zawzięcia, jakiejś intrygi. Pytam: zupełnie nie czujesz w sobie winy? – No, właściwie to nie. Odsunąłem się od niego fizycznie i powiadam: człowieku ja się ciebie boję. Na-

prawdę się ciebie boję! Z kolei on się wystraszył. I potem mu wyjaśniłem, dlaczego się go boję. Jeżeli on nie ma żadnej winy w sobie, to jest straszne. Naprawdę, strasznie się spotkać z takim człowiekiem w ciemnej ulicy, bo nie wiadomo co z niego wyskoczy.

Otóż, przyjaciele drodzy, Bogu dzięki, że tacy kaznodzieje i prorocy zabrali głos, żeby nie wymienić tych chociaż ostatnich jak Solżenicyn, Sieniański czy inni.

Drodzy, ale czy my mamy od nich się uczyć? Od nich? Smutne to, żebyśmy się od nich uczyli...

My, chrześcijanie, jako zbiorowość, jako Kościół już od przeszło dwóch tysięcy lat wiemy o tym, że nie ma ludzi niewinnych. Że wszyscy jesteśmy winni. Że wszyscyśmy się narodzili w grzechu, jak Dawid w 50 psalmie już mówił: *Et in peccatis conceptur mater mea* – W grzechu urodziła mnie moja matka. A potem w Nowym Testamencie powtórzono tę prawdę i to bardzo mocno. W liście św. Jana Apostoła między innymi czytamy: *Jeżeli powiemy, że nie mamy grzechu, zwodzimy samych siebie i nie ma w nas prawdy*. A w dzisiejszym języku powiemy – jesteśmy zakłamani. Jeżeli zaś wyznajemy swoje grzechy, On, Wierny i Sprawiedliwy, odpuści je nam i oczyści z wszelkiej nieprawości. Jeżeli twierdzimy, że nie dopuściliśmy się grzechu, czynimy z Niego kłamcę i nie ma w nas Jego Słowa.

Po cóż mamy cytować tuzin słów czy tekstów Bożych i Kościoła. Proszę zwrócić uwagę i rzucić okiem na najstarsze, na najbardziej osadzone w centrum Kościoła teksty liturgiczne, słowa li-

turgii. Proszę zwrócić uwagę na Mszę św.: *Spowiadam się Bogu Wszchemogącemu* i wszyscy uderzają się w piersi mówiąc: *moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina*. Ubolewać należy, że to jest znów najczęściej drętwa mowa. Bo nie ma w nas poczucia winy i to jest właściwie trochę pustosłowie, czasami zgoła pustosłowie. Ale tutaj, w tym zwrocie, możemy codziennie odkrywać tę prawdę jak Kościół widział i widzi człowieka w jego obecnej kondycji po grzechu pierworodnym. Posuńmy się dalej: *Panie zmiłuj się nad nami, Chryste zmiłuj się nad nami*. Człowiek niewinny nie będzie tak mówił, to byłoby nieautentyczne. Ale skoro wszyscy mówimy, skoro wszyscy jesteśmy poniekąd zobowiązani do tego mówienia, a więc naprawdę wszyscy powinniśmy się czuć winnymi, grzesznikami. A potem „*Chwała na wysokości Bogu*” – to jest hymn pochwalny. Bez wątpienia. Ale proszę zauważyć jakie mocne nuty. I znów *Panie zmiłuj się nad nami, Chryste zmiłuj się nad nami; Który siedzisz po prawicy Ojca – zmiłuj się nad nami*. No i cóż kochani? Znów. Dość!

Proszę, chociażby w czasie najbliższej Mszy św. zwrócić uwagę na te słowa i zdania przebłagalne.

Znów małutka dygresja od osi, ale ona jest właściwie blisko osi naszego rozważania.

Jeżeli nasza młodzież, jeżeli nasi starsi będą przychodzili do kościoła, zwłaszcza na Mszę św., bez poczucia winy („nie mam się z czego spowiadać, proszę księdza”), to przecież właściwie nie zaangażują się we Mszę św., bo dla nich te słowa,

tak liczne słowa modlitwy przebłagalnej, będą drętwą mową. To nie będą autentyczne słowa. Dopiero ten przeżyje Mszę św., Najświętszą Ofiarę i Ucztę, kto weń wejdzie z poczuciem winy...

Kiedyś sam, uderzony po prostu snopem światła, zna tę sprawę jeden z seniorów, obecnie wykładowca na wyższej uczelni. Wpadł do mnie, złapał się za głowę i mówi: – Proszę księdza, kłębowski zmij i wokół mnie i we mnie. Dranie jesteśmy! Autentycznie to mówił. I po chwili – wie ksiądz, teraz dopiero rozumiem, dlaczego codziennie Msza św. się odprawia, teraz rozumiem. Tak, rzeczywiście, wtedy się rozumie, gdy się widzi grzech w ludziach i w sobie, przynajmniej kondycję grzechu, wtedy w człowieku istnieje to poczucie winy...

Otóż, moi przyjaciele, ta dziedzina powinna być poddana rewizji. I rachunek sumienia. Im głębszy rachunek sumienia, tym więcej ukaże się nam w stężonym świetle, że jesteśmy winni. Jesteśmy grzesznikami, nawet wtedy, gdyśmy nic tak złego nie zrobili, żeśmy nie wywołali jakiegoś skandalu. I wtedy jesteśmy grzesznikami. Bo teraz, o tym starsi już bardzo dobrze wiedzą, a młodszy będą jeszcze analizować na teologii moralnej, że właściwie moralność czynów ludzkich określa się w naszym wnętrzu, w naszej świadomości, w naszej woli i w naszej orientacji, w naszej intencji. O tym wiemy. Za czasów św. Tomasza z Akwinu zastanawiano się, czy czyn zewnętrzny coś dodaje do tej orientacji. Otóż głębinowa etyka chrześcijańska powie: ukradł. A ten czyn zewnętrzny to właściwie margines...

Jeżeli ktoś ułożył sobie strategię spotkania się z kobietą, czy to będzie świecki czy też nawet kandydat do kapłaństwa, jeżeli on już się zorientował na to spotkanie, ewentualnie na dalsze konsekwencje, to cóż – nie cudzołożył? Cudzołożył, choć warunki tak się ułożyły, że do tego nie doszło. Zresztą zawierzmy Jezusowi. Nie musimy się wdawać w analizę psychologiczną w tej sprawie. Jezus powiedział: *Jeżeli ktoś patrzy na niewiastę ażeby ją pożądał...*, jeżeli zdecyduje się wewnętrznie na to, to już ...cudzołożył w sercu swoim.

A więc tam się odbywają, w „kotłowni”, niewidzialnej dla oka ludzkiego na zewnątrz, decydujące procesy, procesy grzechu, procesy dobra, w ogóle procesy moralne. Tam się odbywa ta kwalifikacja jakościowa czynu, w tej głębi, w intencji...

A my tak bardzo nie doceniamy tych rzeczy, skłonni jesteśmy patrzeć i oceniać tylko to, co na powierzchni. A przecież te czyny zewnętrzne mogą być czasami konsekwencją jakiegoś zagubienia, mogą być po prostu jakimś incydentem, zaskoczeniem jakimś. No, coś wyleciało. Oczywiście, jeżeli ten czyn zewnętrzny będzie kwalifikowany jako ciężkie przestępstwo, nawet przez prawo państwowe, no to nie jest jeszcze tak ciężkie jak czyn wewnętrzny, np. jak oceny, poglądy.

My się w ogóle z poglądów nie spowiadamy, my czasami w ogóle tej dziedziny nie wprowadzamy na płaszczyznę kwalifikacji moralnych.

A przecież oceny formują się z reguły z pełną świadomością i z dostateczną wolnością. Tam nie ma z reguły zaskoczeń. Moje oceny spraw, zja-

wisk, ludzi, różne relacje odbywają się w atmosferze, powtarzam, świadomości i wolności. Ja mam czas. Tam się nie potrzebuję śpieszyć, ja mam czas, żeby skonfrontować moją ocenę z Ewangelią, z ocenami Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Ja mam czas. I jeżeli ja teraz oceniam coś lub kogoś, czy jakieś zjawisko, czy jakieś wydarzenie w sposób sprzeczny z Jezusem, z Ewangelią, to przecież nie można powiedzieć, że ja nie popełniam grzechu... Albo jeżeli ja wyrażam poglądy. One również formują się z reguły w atmosferze spokoju, w świadomości i atmosferze wolności wewnętrznej.

Nie mam z czego się spowiadać?...

Jeżeli ja patrzę na sprawy seksu, czy na sprawy przerywania ciąży inaczej aniżeli encyklika „Humane vitae”; jeżeli ja patrzę na zagadnienie wojny czy pokoju, a wyrażam pogląd, że rzeczywiście dobrze by było tych Żydów wszystkich wyrznąć, czy komunistów wystrzelać; jeżeli ja to mówię w sposób wyrażający autentyczny pogląd, to przecież gdzie jesteście? Rozumiecie, gdzie jesteście?

A przecież zauważmy jak często my, na ambonie (przepraszam, wy jeszcze nie) pięknie, zupełnie składnie, w sposób wylizany konfrontujemy sprawę z Ewangelią, wygłaszamy ewangeliczny pogląd, a zejdziemy z ambony i przy stole gdzieś zupełnie inne poglądy wyrażamy – to jak to jest? Tam nie ma grzechu? Oczywiście, że mogą te poglądy być ujmowane w cudzysłów, czy oceny mogą być żartobliwe, trochę zaskakujące jakieś, trochę jakieś sensacyjne. Wtedy to już inna rzecz (z tym

również trzeba uważać). Ale jeśli ja wyrażam autentyczny pogląd sprzeczny z Ewangelią, prawdą, to przecież ja popełniam grzech, grzech zaniedbania.

W „kotłowni” naszej obserwujemy grzech zaniedbania, grzech opuszczenia, grzech nie wykorzystanych szans. My się spowiadamy, że byłem roz-targniony, że paciorek opuściłem... Tak oczywiście duchowni się nie spowiadają, ale świeccy czasami tak mówią, że paciorek opuściłem i to uważają niemal za grzech ciężki. A tymczasem wtedy, gdy zaniedbuje swój rozwój osobowości, zaniedbuje ten egzystencjalny stosunek z Bogiem, zaniedbuje wychowanie swoich dzieci, zaniedbuje podciągania swojej żony czy odwrotnie, swojego męża, kiedy zaniedbuje okazję do apostołowania – to nie grzech? W ogóle biała plama? A przecież Bóg daje szansę, Bóg daje okazję.

Taka szansa jest w seminarium. Taką szansą są rekolekcje. Czasami jakaś lektura, jakaś głęboka i ciekawa monografia. Taka szansa to spotkanie jakiegoś człowieka, to zwrócenie się do kogoś z gestem i uśmiechem dobroci i miłości.

Boże mój, gdy te sprawy rozpatruję, czasami robię rachunek sumienia np. mojej podróży do Poznania czy Warszawy i z powrotem. Jadę w przedziale. Mogę oczywiście zamknąć się, nawet mogę zapłacić konduktorowi i mogę dostać oddzielny przedział, by zamknąć się i koniec. I nikt z nikim. Ale potem myślę, Boże mój, może mi Pan Jezus dawał szansę, żebym ja w tym przedziale II klasy spotkał się z tym czy owym czło-

wiekim i może tamten człowiek oczekiwał mnie. A ja się zamknąłem w luksusowym przedziale I klasy i odseparowałem się. Może to była szansa. Może rzeczywiście tam takiej szansy nie było w tym konkretnym przypadku, ale ja muszę te rzeczy jakoś widzieć i jeżeli widzę, to wtedy ja mam naprawdę wciąż to poczucie winy. Mam poczucie winy...

A gdy pójdziecie do kapłaństwa, drodzy przyjaciele, zaniedbanie i opuszczenie – Boże, jakie to są czasami ciężkie grzechy. Zaniedbanie kancelarii. Czasami jakiś interesant ma nie tylko sprawę formalną, ale ma sprawę głębszą. Szuka księdza, szuka i nie znajduje i brnie dalej. Odchodzi na zawsze...

#### Konfesjonał.

Jeżeli ja, jako duszpasterz, jako kapłan, a wy – w przyszłości, nie będziecie pilnować konfesjonału, możecie być winni zabójstwa, winni zbrodni. Bo może ktoś właśnie szukał ciebie w konfesjonałach i nie znalazł i w rozterce, w jakiejś rozpaczliwej chwili poszedł i powiesił się albo rzucił się do Odry... Prawda? Takie rzeczy mogą mieć miejsce, nie są wzięte z jakiejś innej planety. Ktoś przychodzi do konfesjonału, księdza nie ma. A właściwie on się teraz zdecydował na tę spowiedź, miał taką jakąś szczęśliwą passę, poczuł ten głos Boży, odpowiedział: tak i nie zastał... I znów wrócił do swego „pogrzebu”, jakby Mickiewicz powiedział. No co?

Albo sala katechetyczna. Dzieci w tych salach katechetycznych. To zaniedbanie, to omijanie tych szans, tych możliwości. Mogą być straszne grze-



chy. Na ogół jesteśmy skłonni narzekać, że władze to, że władze tamto, że warunki i tak dalej, a czy my wyzyskujemy te wszystkie warunki i okoliczności? Jeśli idzie o rachunek sumienia trzeba dotykać spraw, czyli tak zwanych okazji. Coraz rzadziej o nich się mówi na rekolekcjach.

Są okazje i sytuacje nam narzucone. Znajdujesz się w łajdackim towarzystwie czy w towarzystwie jakiejś kobiety, czy w towarzystwie jakiegoś przestępcy, czy w jakichś w ogóle takich okolicznościach zaskakujących, gdzie rzeczywiście, możesz być nawet roztrzęsiony, możesz być nawet na krawędzi jakiegoś upadku straszliwego. Ale jeżeli ty okazji tych nie wybrałeś, jeżeli to była tylko pokusa idąca z zewnątrz, bo z okazją łączy się pokusa oczywiście, to nie jesteś odpowiedzialny.

Ale jeżeli ktoś wie, gdzie są jego newralgiczne punkty, wie gdzie jego słabość, a mimo wszystko tam idzie albo po prostu tego szuka, to gdzie jego odpowiedzialność? Szuka takiej czy innej okazji – do kieliszka, do kobiety, czy tam do jakiegoś kumpla już wewnętrznie rozbitego, połamanego? I co?

Jeżeli czuje jakieś przemożne pokusy do przywłaszczania sobie (takie okazje będą w kościele niemal chlebem codziennym) nawet tych ofiarnych pieniążków, składanych przez naszych braci z myślą, że ksiądz się będzie modlił, że przekaże na jakieś dobre cele i tym podobne – będzie miał okazję do zabierania. Jeżeli będziemy zmuszeni przyjąć te okazje, łaska Boża dopomoże. On wesprze nas. Ale jeżeli sami narażamy się, jeżeli

sami zgłaszamy się jak Judasz do noszenia mieszka, wtedy, gdy wiemy, że skłonni jesteśmy sięgać ręką po nie swoje, oczywiście mówię w metaforze, w szerszym znaczeniu, to wtedy oddalmy się od tej okazji.

Nawet profesor Foerster, świecki człowiek, kiedyś napisał, że dla przeciętnego człowieka łatwiej jest dziesięć razy ominąć okazję aniżeli przewyciężyć pokusy, które wyzwalają się przy tej okazji.

Powtarzam jego zdanie, dziesięć razy dla przeciętnego człowieka łatwiej jest ominąć okazję, jakiegoś człowieka, jakąś książkę, jakiś film, czy powiedzmy jakiś mieszek kuszący, czy jakąś kobietę aniżeli przewyciężyć pokusy. Jeżeli więc ja szukam wewnątrz tej okazji, choć *explicite* tego nie wypowiadam, ja właściwie już godzę się na tę kradzież, na to cudzołóstwo, na tę deprecjację tej godności i mego towarzystwa, i temu podobne.

Otóż to jest też strefa rachunku sumienia, ta strefa ukryta, właściwa tej naszej „kotłowni”. Używam tego porównania chyba dość jasnego. Bo w „kotłowni” dzieją się różne rzeczy. Do nas dopływa tutaj i prąd, i światło, to wszystko bardzo ładnie. I czasami nie zdajemy sobie sprawy, że na to światło i na to ciepło nasze pracuje kotłownia. I nad odprowadzeniem tych ścieków w mieście pracują kotłownie, zainstalowane głęboko, niewidocznie. Czasami mroczne, ciasne. Ludzie umorusani, czasami bardzo umęczeni. I oni właśnie tworzą to, że miasto jest oświetlone, że domy

oświetlone, że domy ogrzane. Ale głównie tam dzieją się te rzeczy. Jeżeli kotłownia zaszwankuje, zaszwankują maszyny, czy obsługujący, wszystko rozwala się. Otóż i my mamy tę „kotłownię” nawet i w sferze podświadomości. To sfera tych nie bardzo uświadamianych czasami popędów, instynktów i różnych nie nazwanych jeszcze podświadomych dynamizmów. I tam trzeba zaglądać możliwie najgłębiej...

I oto przyjaciele drodzy, jeżeli tam zaglądamy, tam się rozejrzemy, wtedy uświadomimy sobie – to jest skrajne ujęcie – za Dürrenmattem i za Camusem, że każdy z nas nosi w sobie zbrodniarza. Nawet zbrodniarza! Że w pewnych okolicznościach i warunkach mógłbym się stać zbrodniarzem. Takie dyspozycje w sobie czujemy. A więc mam poczucie grzechu, poczucie słabości, poczucie winy. Muszę to nosić w sobie.

Tylko nie kompleks, dla chrześcijan nie ma kompleksu. Rozumiecie, dlaczego nie ma kompleksu?

Bo nie kapłan, nie spowiednik rozwiązuje kompleksy, problemy, tylko On, Najświętszy i Najwyższy. On Samoistny, Nieskończony, Wielki, Wszechpotęga, ale i Wszechmiłość. On siada, a nawet klęka, przed człowiekiem, otwiera ramiona, mówi: okaż to poczucie winy, przyznaj się szczerze, przyjdź a wszystko ci wybaczę. Nawet jeżeli twoja spowiedź będzie bardzo niedoskonała. Nawet jeżeli wielu rzeczy nie dopowiesz, nawet gdy zamknę ci usta pocałunkiem miłości, jak temu synowi marnotrawnemu. Czy on się wypowiadał?

Tak dokładnie? Nie zdążył. Bo ojciec go objął, ujął go w swoje ramiona i nie pozwolił mu nawet dokończyć tego wyznania...

I cóż, tam właśnie dzieje się to, co istotne. I tam się człowiek regeneruje, odradza, przezwycięża te wszystkie kompleksy. I tam wszystko idzie na stos, na spalenie – te kurze, te pajęczyny, ta mierzwa, to błoto. Tam odbywa się uczta, na którą Jezus ustawicznie zaprasza.

Powiadacie, drodzy, a co z tymi warunkami?

Bez wątpienia, warunki muszą być zachowane, a przede wszystkim ten podstawowy warunek – żal. Ale nie bez słusności mówi autor książki pod tytułem „Ojciec Evely: *Zamiast pozwolić nam, abyśmy, zapomniawszy o naszych grzechach, zapomnieli również o Bogu, o Jego darze, o tym nieznośnym fakcie, że nam darował, spowiedź wprowadza w życie, w którym nie można myśleć o czymkolwiek poza Nim. Bóg nam mówi – zamilknij, przestań grzebać się w błocie, czy wierzysz we Mnie, czy wierzysz, że cię kocham dostatecznie, że tak zależy mi na tobie, że tyle mam serdeczności dla ciebie, że tak się cieszę najmniejszym gestem twoim skierowanym ku Mnie, że przebaczę ci nawet tę niedołączną spowiedź, która jest jeszcze jednym grzechem.*

W gruncie rzeczy, jeżeli wiemy, że w ten sposób Bóg nam przebacza i w ten sposób nas kocha, będziemy tak zalani radością i wdzięcznością, że odejdzie już nam chęć grzeszenia. Na tym polega rozgrzeszenie. Chyba rozumiemy, co ojciec Evely chce jeszcze powiedzieć szerzej. Chce przestrzec

nas przed formalizmem. My rzeczywiście skłonni jesteśmy właśnie tylko grzebać się w tych grzechach, tylko oglądać tę „kotłownię”. Wiercić się tam w tej „kotłowni”. Przeżywać nawet choćby poczucie winy i lęk. I w tym nastroju podchodzić do sakramentu pokuty, do Jezusa przebaczącego. I w tym niepokoju spowiadać się, myśląc tylko, aby jakoś to wyrazić, żeby ksiądz usłyszał, czy dobrze mnie zrozumiał.

Proszę zauważyć, że znów to jest pułapka dla nas, zawsze pułapka!

Zamiast się zbliżyć do Osoby, spotkać się z Osobą, to my skłonni jesteśmy urządzić spotkanie z rzeczami, ze słowami, ze sobą tylko, kręcić się wokół siebie. Ja, te słowa i te teksty, formy, no i ostatecznie jeszcze ten człowiek siedzący w konfesjonale, ksiądz, to przecież zawsze musi być wpisane w rachunek naszych spotkań z Jezusem. No i na tym się kończy...

A właściwie pomijamy głównego Bohatera tego wspaniałego dramatu. Nie ma spotkania z Jezusem.

Człowiek skupia się na sobie, wokół siebie, wokół spowiednika. A gdzie Jezus? Gdzie On się podział?

A gdzie najważniejszy warunek sakramentu pokuty: wiara i miłość?

I tu w dalszym ciągu właśnie podkreślam, że te pięć warunków musi być uzupełnione pierwszym warunkiem głównym: wiara i miłość. To jest pierwsze przed pięcioma warunkami: wiara i miłość.

To jest główny warunek, a w miłości zawiera się in plicite i žal. Żal to jest wyraz miłości. Żal,

który byłby jałowym żalem: „żałuję, że sumienie sobie zbrudziłem”, „żałuję, że zaniepokoiłem siebie”, „żałuję, że się wstydu najadłem” – to przecież nie jest nadprzyrodzony żal. To jest żal infantyła, tego dziecka, które żałuje, że naraziło się na pewną śmieszność, czy na karę, czy na chłostę, czy na jakieś inne sankcje. Wiara i miłość. Ja przychodzę z wiarą, że On tam jest. I przychodzę z miłością jako rezonans na Jego Miłość. Wiem, że On mnie oczekuje z otwartymi ramionami i idę do Niego. Evely mówi w dalszym ciągu: Żal doskonały czy niedoskonały? Warunki wymagane. Tak komplikujemy często te rzeczy, że zapominamy o jednym warunku, bez którego wszystkie nasze spowiedzi byłyby tylko udawaniem. O wierze, że Bóg nas kocha. Myśmy poznali Miłość i uwierzyli Miłości. A na tym polega Miłość, że nie my umiłowaliśmy pierwsi Boga, ale On nas pierwszy umiłował. Iść się spowiadać to iść ku większej wzajemnej miłości z Bogiem. Iść, by nam powtórzył, że Bóg nas kocha. By zacząć w to wierzyć wreszcie.

I wtedy, jeżeli w takim klimacie będziemy podchodzili do sakramentu pokuty, do Jezusa w konfesjonale, to wtedy rzeczywiście będziemy oczyszczali się i rośli. I odechce się nam grzeszenia. Bo grzech jest właściwie przeciw wizji wartości, hierarchii wartości. Nam się wydaje, a szatan jeszcze potęguje to wydawanie się, że właśnie tu jest wartość, tu będę szczęśliwy. Ale jeżeli my przeżyjemy wiarę i miłość do Boga, jeżeli się w Bogu zakochamy, zakochamy się w Chrystusie, to nam

się odechce wszelkich grzechów. One jak suche gałęzie zaczną od nas odpadać. Odechce się nam i cudzołóstwa, i nieczystości, i odechce się wszystkich naszych ambicji, naszej miłości własnej. Wszystko rzucimy na stos, poświęcimy dla Niego, dla Jego Miłości, żeby tę Miłość zachować.

I oto, drodzy, znów wracamy do tego, co nam Jezus dzisiaj rano powiedział, że właściwie wszystko zmierzać winno do Miłości. Ku Miłości Pana Boga i człowieka. Wszystko. A gdy mówimy, że zmierzamy ku Miłości, to ja, chrześcijanin, nie mówię, że zmierzam ku jakiejś idei, że zmierzam ku jakiejś abstrakcyjnej wartości, tylko w ustach chrześcijanina to znaczy: ja zmierzam do tej Miłości, która jest Osobą. Która jest Osobą w jednej naturze. Trzy Osoby w jednej naturze. I właśnie do tych Trzech Osób w jednej naturze ta miłość nas prowadzi i z Nimi jednoczy.

I oto, przyjaciele drodzy, po rewizji, w jakimś duchu, może w jakiejś mierze odnowionym, poprawionym, ubogaconym, starajmy się bez napięcia, bez poczucia jakiejś chmury, przychodzić do Jezusa przebaczącego.





## 4. CZYSTOŚĆ

Ta wielka rewizja naszego życia chrześcijańskiego, życia kandydatów do kapłaństwa, to przejście z pługiem zakwestionowania, musi też objąć i teren, o czystość którego polecił nam modlić się Jezus.

*I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego.*

Wiele razy słyszeliśmy opis kuszenia Jezusa na pustyni. Starsi koledzy na pamięć znają ten rozdział Ewangelii. Szatan, zły duch, który istnieje, bo On całym swym autorytetem potwierdza jego istnienie, antymiłość, inteligencja niezwykła, a równocześnie przewrotność do dna, wyzyskuje słabości człowieka, wyzyskuje szczególnie newralgiczne punkty jego zranionej duszy. On wie, z której strony i kiedy podejść... I wiedział od wieków i wie, że w człowieku tkwią, jak to św. Jan nazwał, takie trzy główne źródła słabości, trzy pożądlivości: pożądlivość ciała, pożądlivość oczu i pycha żywota. I zły duch, śledząc Jezusa na pustyni, właśnie od tej strony podszedł

do Syna Bożego, od tych słabości.... Gdy zauważył u Jezusa głód ciała, powiedział: rzeknij, aby te kamienie stały się chlebem, jeśli jesteś Synem Bożym; wezwij potęgę Boską i nasyc ten doskwierający cię głód chlebem... Gdy nie poszło z tą pokusą, dalej snuł się za Synem Bożym i zabrał Go na wysoką górę, pamiętacie, ukazał Mu wiele królestw świata, czy wszystkie królestwa tamtego świata i powiedział: jeżeli się mi pokłonisz, oddam to wszystko Tobie. O, zły duch wiedział, że człowiek jest chciwy. Każdy człowiek chce więcej mieć przed więcej być, a im więcej ma, tym więcej chce. Nie wyszło i z tą pokusą... A więc zaproponował i zabrał Jezusa gdzieś na szczyt świątyni, wspaniałej Świątyni Jerozolimskiej i tam złożył propozycję: oto, widzisz te tłumy snujące się po placu i po ulicach. Oto stąd, z tego szczytu Świątyni popisz się, a zdumienie ogarnie wszystkich, a wybuchną oklaski, podziw, będziesz bohaterem dnia.

Wiedział bowiem zły duch, że każdy człowiek czuje głód miłości własnej, chce coraz więcej siebie dowartościować... Chce stroić się w światła, piórka, różne korony srebrne, metalowe, diamentowe i że tutaj da się łatwo nabrać.

Drodzy przyjaciele moi, wiemy czym to się skończyło. Jezus nie pozwolił na żadne pertraktacje, wiedział bowiem, że nie ma z kim pertraktować. Nie pozwolił na żadne wahania, bo wiedział, że tu nie może mieć miejsce żadne wahanie, jest oczywiste, gdzie jest dobro a gdzie negacja dobra. Zakończył właściwie monolog, a może na-

wet dialog – *Pójdź precz, szatanie, pójdź precz!* I odszedł, a Aniołowie Boży przystąpili i służyli Jemu.

Drodzy przyjaciele, każdy z nas nosi te rany i trzeba te rany jeszcze pomnożyć.

Dojrzymy ich siedem, a te siedem należy jeszcze pomnożyć przez siedem, bo to nie jest pełen katalog. To jest modny katalog tych wad, które drzemią w człowieku. I oto zły duch wyzyskuje te słabości, zwłaszcza te, które stają się newralgiczne w naszym życiu, najmniej strzeżonymi punktami. Tam podchodzi i składa propozycje przy ukłonach, przy obietnicach. Nawet przy natrętnym wzywaniu.

Drodzy przyjaciele, współczesny świat, każda epoka zresztą ma, jak mówiliśmy, swoje znaki i swoje specyficzne prądy, swoje dynamizmy. I nasz współczesny świat, w którym żyjemy, potęguje nasze słabości, a zły duch, a szatan, ma okazję zademonstrować, zaprezentować różne wartości, towar przez nas pożądanym – przez nasze pożądlivości.

I w ten sposób sprzężone z sobą, złączone nasze słabości z pokusą inteligentnej mocy, złej mocy, mogą się stać klęską dla nas... Co szczególnie prezentuje nam szatan w tym naszym nowym świecie, w naszym współczesnym świecie?

Oto, drodzy, niewątpliwie jasne – przede wszystkim łatwizny, hasło: ułatwiał sobie życie!

Po co masz utrudniać, ułatwiał sobie wszędzie i w odzieży, i w zachowaniu, i w mieszkaniu, i w pracy. Ułatwiał, ułatwiał, ułatwiał!

Oczywiście nie potępiamy ułatwień i usprawnień w dziedzinie techniki. Technika może służyć rozwojowi osobowości człowieka, integracji i ubogacaniu społeczeństwa. Ale jeżeli łatwizny, to hasło, przeniesiemy na teren naszego ducha – to klęska!

Kleşka, kochani. Właśnie o tym pisze Erich Fromm i wielu innych bardzo odpowiedzialnych współczesnych psychologów i psychiatrów.

Wiktor Frankl tu widzi zagrożenie, od strony tego przeniesienia hasła z dziedziny techniki do dziedziny psychiki człowieka, dziedziny jego morale. To jest klęska! Fromm szyderczo w jednym z artykułów mówi, że człowiek dzisiaj chce mieć na wszystko pigułkę. Chodzi o dobry humor? Proszę bardzo: pigułka. Chodzi o nastrój jakiejś tęsknoty? Pigułka. Chodzi o nastrój jakiejś wyjątkowej radości, euforii? Pigułka. Chodzi teraz o sen dobry? Pigułka. Chodzi teraz o spotęgowanie siły woli? Pigułka. Chodzi teraz o spotęgowanie uczucia miłości? Pigułka. Guziczki i pigułki! Drodzy, z szyderstwem tak pisze, prawda. Uświadamiać sobie, nie trzeba wyjaśniać, jakie zagrożenie jest tutaj. Zagrożenie osobowości człowieka. Już nie tylko jego morale, tylko po prostu osoby człowieka. I właśnie ta łatwizna wzywa nas: ułatwaj sobie życie, po co masz komplikować!

W parze z wezwaniem do łatwizny idzie wezwanie do wygody. Urządzaj się coraz bardziej wygodnie, jeszcze bardziej wygodnie. Jeszcze bardziej wygodnie klęcz, wygodniej siedź, wygodniej mieszkać, wygodniej pracuj, wygodniej powinie-

neś jeździć, wygodniej jeść. Wszystko wygodniej!  
Aż do komfortu, drodzy!

Wygoda. Pokój wyścielany dywanami, puszyste nakrycia, wszystko na swoim miejscu, wygoda, komfort...

Drodzy, daleko jeszcze nam do komfortu materialnego, ale przecież rozważaliśmy i wiemy, że morale człowieka kształtuje się właściwie w sferze intencjonalnej. Nie tyle faktycznej, ile intencjonalnej. Jeżeli ktoś chce tego komfortu, jeżeli ktoś się fascynuje tym komfortem, jeżeli ktoś do niego dąży, to już właściwie to jest bogacz, jak Jezus powie, jeżeli dla niego komfort, wygoda staje się bożyszczem....

Proszę zauważyć – już to się u nas zaczyna. Zaczyna się w sferze intencjonalnej i już zaczyna się także w sferze faktycznej. Nie chcę osądzać – Pan Bóg osądzi tych ludzi – kapłanów, ale są strasznie nieroztropni. Jeżeli kupi bardzo drogie dwa lub trzy fotele i jeszcze mówi: patrzcie, ładny fotel, prawda? Za bardzo wysoką sumę. A ten młodzieniaszek grzecznie się uśmiecha, ale myśli sobie: mój tata musi pracować trzy miesiące na taki fotel, a ksiądz pokazuje, popisuje się tym fotelem. I tak dalej, moi drodzy...

Ale tu zaczyna się, w seminarium, ta fascynacja, to ukierunkowanie...

Drodzy, za tym wezwaniem do łatwizny, do wygody, wzywa się także kapłanów i do innych przyjemności, nazwijmy: „tego świata”, ponieważ na ogół sądzi się bez wątpienia, że pewne doraźne przyjemności, a nawet i głębsze, dają życie

erotyczne, daje życie rodzinne. A więc po co sobie utrudniacie życie wy, duchowni, po co? Po co ten celibat, na co? Chodźcie do nas, wejdźcie w nasz świat, będziecie jednymi z nas. Przeżyjcie miłość, może zawody, ale dużo, dużo tej przyjemności, doznań...

Moi drodzy przyjaciele, na Zachodzie już nawet zbiorowe postulaty, czy też zbiorowe petycje składano do Stolicy Apostolskiej (i u nas także takie głosy się odzywały, czy odzywają) – po co ten celibat?... Na co?...

Po co sobie utrudniać życie, prawda?

Otóż, moi drodzy przyjaciele, jeżeli teraz pójdziemy za wezwaniem tego świata, czy powiedzmy złego ducha przez ten świat, to cóż się dzieje? Od razu, gołym okiem widać – eliminacja Krzyża, zostawienie Krzyża...

I zaraz przychodzi pytanie: czy może być chrześcijaństwo bez Krzyża? Chyba nie.

Zresztą, w ogóle to, co świat obiecuje przez łatwizny, wygodę, komfort i przyjemności, to jest w gruncie rzeczy złuda... To jest iluzja, oszustwo szatańskie, bo to szczęścia nie daje... To jest ewidentne! I nawet nie trzeba rozważać. To jest oszustwo, propaganda złego ducha. Ludzie wpadają i tam szczęścia nie znajdują. Dowodem tego, a właściwie pretekstem przeciwko temu, są te ruchy młodzieży hipisowskiej... To jest protest, to jest jak jakiś ruch franciszkański. Tylko, niestety, przywódcy nie ma... A może już się narodził? To jest protest przeciwko tym łatwiznom i przyjemnościom. Powiecie: ale w dziedzinie czystości

żadnych poprawnych wartości tam nie dostrzeżemy. Przepraszam bardzo, słyszeliście pewnie, że jednak z tej piany, z tego szumu, pewnej mody, wyłoniły się dzisiaj wspólnoty, takie parazakonne, gdzie zachowuje się bardzo zdecydowanie także czystość i celibat. Dosłownie. Byłem w Stanach Zjednoczonych i o tym mi mówiono i skądinąd wiem, że takie wspólnoty powstały. W twarz rzucili te wygody i te wszystkie pigułki, i te wszystkie erotyczne sztuczki. Rzucili to precz! Won z tą miłością, powiedzieli, która pachnie lizolem. Tak to jeden z pisarzy zachodnich właśnie zilustrował, bo doszło do przesytu, do obrzydzenia. A księża i młodzi seminarzyści właśnie nastawiają ucha tym pokusom. Jeżeli pójdą na tą drogę, właściwie – eliminacja Krzyża i właściwie koniec chrześcijaństwa. I zdrada powołania.

*Pójdź za Mną! Kto chce iść za Mną niech weźmie krzyż na każdy dzień i zaprze się samego siebie i naśladuje Mnie...*

Nam nie można tak twierdzić, że na Zachodzie wszędzie nastąpił upadek, czy wszędzie nastąpiło załamanie chrześcijaństwa. To niektórzy reporterzy trochę przesadzają. Tam można znaleźć piękne, głębokie, zaangażowane gminy chrześcijańskie. Sam miałem szczęście stykać się z takimi gminami. Albo proszę zapytać księdza Mieszalsy, który był w Kanadzie, gdzie natknął się na naprawdę głębokie wspólnoty chrześcijańskie. Ale uwierzmy także naszym i reporterom, i naszym socjologom, którzy rzeczywiście widzą tam pewien upadek. Otóż skąd to idzie? Drodzy, właśnie stąd,

że nastąpiła właściwie zdrada Krzyża, zdrada chrześcijaństwa, zdrada powołania. A anima hominis naturaliter christiana, jak mówił jeden z Ojców Kościoła. Dusza ludzka naturalnie jest jakoś chrześcijańska, jakoś spontanicznie zmierza, nachyla się na nie i szuka tego autentycznego chrześcijaństwa, włącznie z krzyżem, włącznie z cierpieniem... I otóż, jeżeli taka młodzież na Zachodzie nie znajduje tego w parafii, nie znajduje tego w seminariach, to po co będzie szła?

Oczywiście trochę upraszczam tematykę powołania... Ale między innymi i dlatego tam nie idą do seminarium, bo po co? Bo tam właśnie pustka jakaś, nie ma kontemplacji, tylko jest formalizm, gadanie, nabożeństwa jakiegoś i to jeszcze zubożone. Prawda, jest tam jakieś nabożeństwo, a po za tym pustka... Cóż pociągnie?

Jeszcze w dodatku zamiast religii wprowadzają do seminarium i do tych wspólnot religijnych politykierstwo. Polityka też nie nakarmi duszy człowieka, czy walki frakcyjne, czy partyjne.

Dusza ludzka szuka. Wiadomo czego szuka, Kogo szuka... Jak nie ma kontemplacji, jak nie ma autentycznej modlitwy, jak nie ma tego autentycznego spotkania z Bogiem, jak nie ma krzyża to po co iść? Nie idą.

Drodzy przyjaciele, niejeden z was opuściłby Seminarium, gdyby tu były same łatwizny, same jakieś blade nabożeństwa, jeżeli w ogóle nie byłoby tu jakiegóż głębszej treści, to znaczy, żeby nie było krzyża – to byście powiedzieli: ostatecznie to samo mogę znaleźć gdzie indziej. A nawet pój-



dę do buddystów i do jehowitów, czy do jakichś innych baptystów.

Otóż, przyjaciele drodzy, to jest dla nas groźne!

Tu leży także groźba zaprzepaszczenia szansy duszpasterskiej w Polsce. Jeślibyśmy odeszli od Krzyża, jeślibyśmy, jak niektórzy, interpretowali Dokument Soborowy o Kościele w świecie współczesnym, że Kościół ma się przystosować do współczesnego życia... W czym ma się przystosować? Czy ma dokonać okrojenia Ewangelii? Czy Chrystus i Ewangelia ma się dostosować do człowieka, czy człowiek do Ewangelii?

To jest przecież wierutna brednia na tle rozsądku człowieka wierzącego jednak w Chrystusa.

Otóż owszem, Kościół w świecie współczesnym, ale ma przetwarzać ten świat współczesny i w pewnych dziedzinach, oczywiście nieistotnych, adaptować się w metodach, formach działania, ale nie w istotnych rzeczach. Kościół ma się dostosować do znaków ducha? Czy do wszelkich duchów świata? Gdyby to tylko jeden był duch świata, ale tych duchów świata jest niezliczona ilość.

Nie przystosowuje się do duchów świata, tylko duchy świata powinny się przystosować.

My chcemy i musimy, jako wierzący, widząc w Nim wartość, iść za Nim i to za Jezusem Ukrzyżowanym.

My właściwe powinniśmy, jako kapłani, jako adepci do kapłaństwa, dążyć jednak do tego, żeby się niemal utożsamiać z Chrystusem. Ażeby nie tylko mieć prerogatywy prawne, czy jakieś inne alterius Christi – drugiego Chrystusa, ale żeby

podnieść także swoje morale, swoje wnętrza do tej godności. Powinniśmy dostosować w jakiejś mierze styl życia do Jezusa.

To nasza orientacja!

Gdy spojrzymy na Niego, a krzyży pełno, w pierwszym rzędzie widzimy Go ogołoczonego, ubogiego, strasznie ubogiego, od ubogiej stajni aż do Krzyża.

Ubogi...

Otóż i dla nas ubóstwo nie może być abstrakcją, przynajmniej intencjonalnie. Ale i faktycznie powinniśmy być jednak oddaleni od tych wartości, które mają służyć, a nie którymś mamy służyć.

Powinniśmy być ubodzy, owszem i w duchu, ale też uważać i na ubóstwo faktyczne.

Baltazar, wielki teolog współczesny, w swoich rozważaniach mówi, że my trochę zbyt dialektycznie podchodzimy do tego wezwania Jezusa o ubóstwo. My wciąż mówimy o tym ubóstwie w duchu, trzeba trochę (albo i wiele) pomyśleć o tym ubóstwie faktycznym, żeby się trochę do Niego upodobnić.

Pan Jezus był bardzo zmęczony trudem, pracą. I my powinniśmy być jednak zmęczeni, nie za bardzo wypoczęci, nie głodziutcy, jacyś okraglutcy. Powinniśmy być raczej ładnie wygoleni, ale nie znów jacyś bardzo świeży i pachnący. Jezus był zmęczony...

Jeżeli uważnie czytamy Ewangelię aż wzruszenie ogarnia człowieka, gdy się czyta: *cały dzień Jezus pozostawał wśród tego hałaśliwego tłumu...* Potem przychodzi wieczór, zamiast spać – idzie

się modlić... A w innym miejscu czytamy: spędza krótką noc na śnie, jeszcze ciemno, Apostołowie jeszcze śpią, a On już o wczesnym brzasku poszedł na modlitwę... Jezus zmęczony. Nie żałował Swoich Boskich sił, jak to Droga Krzyżowa nam naocznie ukazuje. Był człowiekiem, był wolny. Od czego wolny?

Ciekawa rzecz, nawet Borys Pasternak, laureat Nagrody Nobla, niedawno zmarły sowiecki pisarz, w książce „Doktor Żywago” podkreśla, że jego przede wszystkim uderza i przekonuje o tym, że Jezus nie był człowiekiem, ta Jego wolność! Wolny był od tradycji, od ciśnienia tego ciasnego patriotyzmu, od ciśnienia warstw czy uprzywilejowanych klas czy też od tych z dołu. Jezus był wolny od strachu, od lęku. Wolny był. Aż rzeczywiście ciarki przechodzą, gdy Jezus wczoraj na przykład mówił w Ewangelii do nas, że idzie do Jerozolimy, mimo że Jemu mówiono, że tam Herod czyha na Jego życie; a On mówi, że żaden prorok nie zginął poza Jerozolimą... a więc – Idę do Jerozolimy. Idzie ku czemu? Idzie ku śmierci! Idzie patrząc w twarz śmierci! Idzie tam, nie ucieka, tylko idzie na spotkanie. Pewnie, że przeżywa te ludzkie uczucia także i lęku – jak w Ogrójcu – ale wolny ostatecznie może więcej...

Wolny także od uczuć, może nie tyle od uczuć, ile od więzów rodzinnych.

My często za najwyższą cnotę uważamy te więzi rodzinne z mamą czy z braćmi, czy z siostrami, bo uważamy, że to jest bardzo wysoka cnota, jeżeli ja jestem bardzo przywiązany do mamy, czy

raz po raz jeżdżę do mamy, do siostry czy do brata. Otóż zauważmy, że u Jezusa inna nuta, inny rys rzuca się nam w oczy. Gdy pożegnał Swoją Matkę i wyszedł jako Siewca Dobrej Nowiny na szeroką arenę działania, z dala się trzyma od Matki. A gdy powiedziano Mu, że Matka i krewni i bracia Jego czekają, bo chcą z Nim mówić, pamiętamy, Jezus się rozejrzał po otaczającej Go rzeszy i mówi: *Któż jest moją matką i bratem? Oto ci, którzy słuchają słowa Bożego i strzegą go.*

Był wolny. Oczywiście, na pewno szanował i kochał Matkę, ale nie tym tanim sentymentalizmem, tą więzią krępującą Jego wolność, Jego ręce, Jego nogi, które przemierzały ścieżki i drogi Palestyny. Był wolny. Borys Pasternak widzi w Jezusie właśnie tę wolność, jakiej się nie spostrzega u nikogo. A my? Jak często jesteśmy skrepowani: opinia publiczna, tutaj oko przełożonego, tam znów mama, tam znów brat i siostra, a co gorsze jeszcze, że czasami pozwalamy się skrepować tym uczuciom erotycznym i gotowi czasami jesteśmy poświęcić nasze powołanie.

Dla tej małej miłości porzucając Wielką Miłość! Idziemy czasami ku małemu ojcostwu, ciasnemu, ażeby pozostawić wielkie ojcostwo, wielką rodzinę, wiele dzieci jako duszpasterz i jako przyszły kapłan.

Jezus był autentyczny, Jego słowo i czyn równały się sobie. Słowo i czyn! Nie było tych nożyc, które obserwujemy tak łatwo u nas.

Boże mój, jak daleko nam do tego, żebyśmy to, co głosimy z ambon, potwierdzali czynem. Niestety! Często nawet, jak już wczoraj rozważali-

śmy, skłonni jesteśmy do wielomówstwa, do wielkich, szumnych haseł. My jeszcze w sposób bardziej jaskrawy ukazujemy tę rozbieżność między wielkimi hasłami, słowami a między codziennym naszym życiem... To nasza bolączka!

A Jezus był jednolity: słowo i czyn!

I oto, drodzy, te cechy, te bardzo rzucające się w oczy cechy postawy, osobowości i zachowania Jezusa to przecież dla nas wyzwanie. Alter Christus. Powinniśmy realizować to wszystko. Realizować, brzmi to dumnie, ale w każdym razie powinniśmy się orientować na te cechy. I gdzież tam łatwizna? Gdzie tam wygody? Gdzie tam tanie przyjemności? Gdzie tam rozmienianie na drobne miłości? Gdzie? Alter Christus. Tamtędy nasza droga! Kto słyszy z zewnątrz takie wezwanie Jezusa i ku Jezusowi, może powiedzieć: twarda to mowa.

Drodzy przyjaciele, wam tego wyjaśniać nie potrzeba, jakie to płytkie, jakie to taniutkie, przejrzyste szkło. A autentyczne chrześcijaństwo, w które jest wpisany Krzyż, właśnie przynosi to, co możemy w sposób autentyczny nazwać szczęściem, jeszcze tu na ziemi.

To jest paradoksalne. Tego wytłumaczyć nie można. To tylko można przeżyć.

Adam Mickiewicz powiedział kiedyś: *Mówisz uszło szczęście i próżno za nim chodzę. Nie uszło, ono cię czeka na krzyżowej drodze...* Tak jest. Nawet na krzyżowej drodze czeka cię szczęście jeszcze tu na ziemi. Czeka cię pokój i radość, jako „produkt uboczny” tego pójścia za Jezusem. Do-

słownie tak. Wszyscy święci, wszyscy wielcy naśladowcy Jezusa byli właśnie pogodni i byli szczęśliwi i to w sposób autentyczny szczęśliwi. Nie była to jakaś tylko zewnętrzna demonstracja.

Któż był bardziej pogodny i radosny jak św. Franciszek z Asyżu? Moi drodzy, a któż był większym naśladowcą Jezusa jak nie św. Franciszek z Asyżu, poza Matką Bożą i Apostołami? Jan Jergensen, nawrócony pod wpływem św. Franciszka uczony duński, w swojej biografii zdecydowanie mówi, że według niego jest to największy naśladowca Jezusa. I jaki był pogodny, jaki wolny, jak kpił sobie z wszelkich związków i powiązań. Jaki był szczęśliwy, jak śpiewał i grał w sposób autentyczny na cześć Pana Boga, jaką jedność czuł ze światem, ze światem wielkim i ze światem małym. Światem roślin, światem ptaków i światem zwierząt. Jaki był szczęśliwy!

Drodzy przyjaciele, otóż gdy nas ogarnia jakiś niepokój i gdy szatan zamaści ten spokój, zamaści światło wokół nas i w nas, wtedy, spójrzmy na św. Franciszka. Spójrzmy na ten nów, powtarzam jeszcze raz: na te wielkie żniwa, które nas oczekują. Na tych ludzi, którzy nas oczekują, na te ufne piękne oczy dziecięce, które nas wyglądają, które będą w nas widziały nie zwykłego nauczyciela czy profesora, tylko będą widziały w nas Ojca...

Czasami nawet usłyszymy to słowo „ojciec”. Nie brońmy się przed nim, nie o paternalizm tu chodzi. Paternalizm to jest poklepywanie starszych ludzi po ramieniu, mówienie mu „ty” i dyrygo-

wanie. Ale każdy z nas powinien być w jakiejś mierze ojcem i nawet ojcem.

Czeka na nas również młodzież, chociaż pochmurna, chociaż czasami bocząca się, ale czeka na was, drodzy... Na wasz otwarty umysł, ale przede wszystkim na wasze serce. Na dobre, ojcowskie, odpowiedzialne serce.

Na was czekają dziewczęta. Tak jest, czekają... Czekają na dobrych ojców, na dobrych przyjaciół. Nie na tych, którzy chcą wykorzystać ich urok, piękno i sprowadzić je na drogę nieszczęścia, jakiegoś powikłania. Tylko czekają na dobrą radę, na tę przyjaźń autentyczną, chociaż na zewnątrz może surową. Czekają na ojców, nie na kumpli, nie na tych, którzy tylko bawią, na bawidamków, tylko czekają na pogodnych, otwartych, radosnych, mądrych, odpowiedzialnych ojców. Choć młodych, ale ojców. I przyjaciół.

I czekają starcy. I chorzy czekają na was. I czekają ci wątpiący, a może nawet i ateści: na dobre słowo, na jakieś nowe podejście. Czekają na autentyczną miłość. Jak zobaczą, tak jak w Hiszpanii (o czym ks. Cholewiński nas informował) takiego bezinteresownego księdza, takiego, który w sposób roztropny rozdaje swoje serce, rozdaje siebie, wtedy to będzie argument: a jednak istnieje coś wyższego. To niemożliwe, żeby on tak bezinteresownie siebie rozdawał.

Przyjaciele drodzy, oto wizja naszej przyszłości.

Powtarzam: od czasu do czasu sięgnijcie wzrokiem za horyzont święceń i spójrzcie na te żniwa, na te dojrzewające łany, na których Jezus chce

widzieć was, jako wezwanych zniwiarzy. Każdemu warto też, przyjaciele drodzy, spojrzeć i na kres, na odejście stąd.

Może poprosimy do głosu tutaj na chwilę piękną postać Madelain z książki „Zaufać Bogu”. Warto tę książkę czytać i studiować! *Błogosławieni czystego serca albowiem oni Boga oglądać będą. Powiedziałeś nam, Panie, że bez tej nieubłaganej czystości nie będziemy mogli Cię widzieć. Odkąd to wiem, pokazuje się nagle, że ją kochamy jak kocha się to, co wiedzie do ukochanego, gdyż naszą miłość do Ciebie niecierpliwą te opóźnienia, które Cię zastaniają. Te opieszalności odkładające wciąż na jutro spotkanie z Tobą. Wiemy, że czystość rozplącze tysiąc rąk, które czepiają się naszych ramion.*

Zauważcie, drodzy, co w podtekście brzmi: Wiemy, że czystość rozplącze tysiąc rąk, które czepiają się naszych ramion, męcza, krępują nas, zatrzymują. Zostań moim...

Nie, kapłan nie może zatrzymać ręki w jej ręce. Może podać i Jezusowi przekazać jej dłoń, ale nie zatrzymać dla siebie. Wiemy, że czystość rozplącze tysiąc rąk, które czepiają się naszych ramion, męcza, krępują nas, zatrzymują, można by powiedzieć: prowokują, czasami proszą, błagają. *Ona, ta czystość, miłość, uwalnia od wszelkiego zastoju, od owładnięcia przez cokolwiek. Pozwala pójść wprost do Ciebie. To miłość nagląca, niecierpliwa, władcza, nie znosząca intruzów.*

*Dlatego ostatnim jej szturmem będzie godzina naszej śmierci. Każe nam wejść do tego pociągu,*



*który uniesie nas poza nas samych. Poprzez szyby wszystkie rzeczy będą nam posyłać znaki pożegnania. Żadna nie zaproponuje nam wspólnej podróży. Wszystkie będą się bały naszego towarzysstwa. Wszystkie wydadzą się nam przejściowe, ważne tylko jako etap.*

*Opuścimy wszystko, wszystko nas opuści, zostaniemy zamknięci w nieodpartym pędzie i będzie się dla nas liczył, i będzie nas obchodził jedynie ostatni obrót kuli, przystanek nagły, skąd się nie odjeżdża, w kraju wieczności przed Bogiem, który nas czeka, przed Bogiem, którego ujrzymy, gdy nas do Niego doprowadzi po cierplivej czystości życia elementarna czystość śmierci.*

Czy to straszne? Wcale nie.

Tak jak ten żołnierz amerykański powiedział:  
*Dziwne, odkąd poznałem i pokochałem Ciebie, nawet śmierci się nie boję...*

Tak jest. Do tego nas prowadzi Jezus, jeżeli chcemy iść za Nim...



## 5. MODLITWA

Nigdy za dużo o Bogu, tak jak nigdy nie dojdziemy do dna.

Czy mamy cytować dokumenty soborowe o potrzebie modlitwy? Myślę, że to zbędne. Nawet nie będziemy cytować wezwań naszego Pana. Modlitwa jest pierwszą konsekwencją wiary. Jest tak stara jak stara jest wiara, jak stary jest człowiek.

W odpowiedzi na wezwanie Jezusa: *Módlcie się a nie ustawajcie*, staraliśmy się modlić. A więc: paciorki odmawialiśmy i śpiewaliśmy, i różaniec odmawialiśmy, i recytowaliśmy teksty liturgiczne. Niemało się tego zbierze. Statystyka wykazałaby, że dosyć wiele czasu przeznaczamy na brewiarz, różaniec, pacierze. Ale sami rozumiecie dlaczego jednak te modlitwy nie dają tego, co obiecują, a właściwie nie daje Bóg, który obiecywał?

Dlaczego modlący nie zmieniają się? Coś tu nie gra. Tak to czujemy. Musimy tę dziedzinę kwestionować. To jest zadaniem nie tylko rekolekcji wielkopostnych, ale osobistych rozmów, aby szukać gdzie zahamowania, krzywizny.

Rzut oka na naszą modlitwę, na modlitwy, w których bierzemy udział. Już właściwie ukazuje się nam główny powód, a może grzech albo wada. A w czym rzecz? Werbalizm. Słowa, słowa, słowa... A w tych słowach bardzo często nie jesteśmy obecni. Nie chodzi o takie skoncentrowanie, aby być obecnym w każdym słowie. Jesteśmy obecni naszą wolą. Właściwie mówimy a nie bardzo chcemy tego, czego chcemy. Nie przykładamy pieczęci naszego chcenia. To jest brak, niedostatek wewnętrznego kontaktu z Bogiem. Dziś nazywa się to słowem: kontakt egzystencjalny.

Skłonni jesteśmy, nawet w skupieniu, spotykać się z Bogiem za pośrednictwem słowa, tekstu, byle znaków, symboli. I tym zadowolamy się. Gdy wypowiemy słowo, zastosujemy znak – symbol, myślimy, że wszystko w porządku. Tu zaważyła zasada opus operatus, że w rzeczywistości zastosowanie znaków, symboli przy zaistnieniu intencji sprawia, że już łaska Pana wchodzi do duszy człowieka. To samo dotyczyło Mszy św. Uważano, że gdy ksiądz zastosuje znaki, symbole z intencją, to muszą być ważne, konsekracja ważna. Zlekceważono w dużej mierze zaangażowanie wewnętrzne. Powstała niejako fabryka znaków, urzeczowienie samego Boga. Na tym terenie rodzi się posucha, która nie daje owoców, rodzi osty, chwasty. Podkreślić należy zaangażowanie egzystencjalne, wewnętrzne człowieka na modlitwie.

Jak określić modlitwę, różaniec?

„To odniesienie myśli, serca do Boga”. Nic w tym stwierdzeniu nie było złego, nawet przekonujące.

Potem dzieciom starszym mówiono: „rozmowa z Bogiem”. Nic błędnego.

Po soborze coraz częściej mówiono: „to dialog”. Dialog to rozmowa, słusznie.

Alexis Carrel po nawróceniu napisał, że: *modlitwa to uświadomienie i przeżycie Boga*. Proszę zauważyć, to też poprawne: zanurzenie i przeżycie (to słowo można zrozumieć i w sensie głębszym).

Św. Teresa z Avila: *Modlitwa jest przyjacielską rozmową z Bogiem, o którym wiem, że mnie kocha*.

Karol de Foucauld: *Modlić się to myśleć o Bogu, kochając Go*.

Abstrahując od tego, które określenie wybieremy, najważniejsze w modlitwie jest, aby to było osobiste, egzystencjalne spotkanie ducha człowieka z Bogiem. To spotkanie musi być otwarte na przyjęcie Boga, Słowa, Jego woli i Jego miłości.

Tu dojdzie współczynnik pokory. Jeszcze więcej, z tą otwartą postawą musi wejść postawa oddania się i zawierzenia Panu Bogu. To jest właściwość modlitwy.

Może ktoś z głębokich współczesnych coś doda. Teologowie życia wewnętrznego (Baltazar) mówią, że modlitwa to oddanie się. To jest istotne: „Panie, nie tylko zawierzam, ale oddaję się Tobie”!

To właśnie jest szczyt modlitwy.

Reszta wobec tego oddania się, to warunki drugorzędne.

Żeby się dobrze modlić trzeba się wyciszyć, nie trzeba się śpieszyć. Gdy się spieszymy, gdy żyjemy w hałasie, trudno się wtedy oddać Jemu. Ważne jest przyjęcie postawy ułatwiającej skupienie. To wszystko warunki umożliwiające modlitwę. Nie jest istotne w jakiej formie będziemy się modlić, czy to będzie modlitwa ustna, czy kontemplacja. Ważne jest, aby człowiek spotkał się wewnątrz, egzystencjalnie z Panem Bogiem i aby się otworzył, aby uklęknął w pokorze i żeby oddał się, żeby przynajmniej chciał oddać się.

Oczywiście, że do tego łatwo i szybko nie dochodzimy. To szczyt. Skłonni jesteśmy zachować autonomię. Boimy się: „gdzie mnie weźmiesz, co mi rozkażesz, Boże Świąty. Tyś szalony, możesz mnie posłać na drogę krzyżową”.

Powinniśmy dążyć do tego, aby oddać się Jemu.

Mówiąc o różnych formach modlitwy nie można wyrzucać za burtę takiej treści jak kontemplacja. To odbieranie tamtych fal i jednocześnie przeżywanie. Należy ubolewać, że wśród kapłanów i alumnów zanika szacunek, a nawet zainteresowanie tym rodzajem modlitwy.

Kaznodzieje świeccy podkreślają kontemplację. Podczas gdy świątły teolog mówi, że kontemplacja to dla zakonników, że niepotrzebne, to ateista E. Fromm w książce „O sztuce miłości” powie, że: *kontemplacja to szczyt wewnętrznej aktywności człowieka*. To jest prawda, człowiek przy widzeniu wartości otwiera się, jednoczy i utożsamia się.

Na płaszczyźnie świeckiej spotykamy piękne postawy kontemplacji. Nie zapomnę jak w Wiecz-

nym Mieście odprawiałem pierwszą Mszę św. Przy Madonnie zauważyłem młodego człowieka, który nas nie zauważył. Zapatrzony. Wracamy po godzinie, siedzi w tej samej pozycji, nikogo nie widzi. Wtedy spotkałem się z faktem pięknej kontemplacji.

Gdy wejdziemy na piękny szczyt, wejdziemy do doliny, przestajemy mówić, jednoczymy się. A gdy chrześcijanin spotyka się z Bogiem, gdy ten człowiek ma szeroką wizję, gdy z Nim się egzystencjalnie spotyka – nie chce wtedy mówić. Przystanie mówić.

W ciszy wchłaniam, jednoczę się.

Drodzy, to jest szczyt aktywności modlącego się człowieka. Obyście nie ulegali błędnej nauce! Bo jeżeli kapłani nie mają tego pola modlitwy, to młodzież nasza idzie do jehowitów, do baptystów. Młodzież amerykańska wsiada w samolot, by w buddyjskim klasztorze przeżyć kontemplację... Nie wolno nam wyrzec się tej wartości.

Modlitwa wśród chrześcijan jest tragicznie niewykorzystana. Carrel powie: *Modlitwa musi stać się zwyczajem. Nie ma żadnego sensu modlić się z rana, a potem żyć przez resztę dnia jak barbarzyńca.* Wielu ludzi widzi w modlitwie tylko zbiór formuł, wymownych słów, ucieczkę dla starych, dziecinną żebraninę, odnoszenie korzyści. Dlatego wpływamy na mielizny. Bo słowa, mowa trawa, teksty. Urzeczowiliśmy Pana Boga i sprowadziliśmy funkcję modlitwy do symbolu, gestu. Pacierz odmawiamy.

Przestańcie odmawiać pacierze, a zacznijcie się modlić!

Porzućcie drętwą mowę!

Czasami tę modlitwę używa się do wyciszenia tłumu. Czasami katecheta, kapłan, nie mogąc uspokoić dzieci krzyczy i każe odmawiać „Ojciec nasz”... i dzieci wyciszają się jak pod batem. To jest brak szacunku. To też temat do rewizji naszego stosunku do modlitwy.

Zauważmy jak rzadko, gdy kapłan odmawia brewiarz (modli się brewiarzem – tak trzeba mówić), świecki czy duchowny interesant położy palec na ustach i powie: poczekajmy.

Brak szacunku dla modlitwy innych. Kiedyś jeden z misjonarzy mówił o szacunku hindusów do modlitwy. Był sam w przedziale i modlił się. Wsiadła grupa młodzieży i zauważyła, że on modli się. Zostają na korytarzu. On ich zaprasza do wnętrza. Oni pozostali w ciszy. Specjalnie długo się modlił. Rzadko spotkać u nas taki przejaw szacunku do modlitwy.

A my powinniśmy być specjalistami w modlitwie, bo przecież kapłan to człowiek modlitwy. Kapłan, który nie chciałby modlić się, byłby karykaturą. Modlitwa za siebie, za wiernych jest jedną z funkcji kapłana. Powinien modlić się zawsze i wszędzie. W różnych sytuacjach dnia i rodzajach godzin. Nie tylko na liturgii. Przed liturgią, w ciągu dnia, gdy jest w kancelarii, gdy wsiada do tramwaju, na statek – wtedy jest dowódcą tych, którzy jadą, przewodnikiem rejsu. Za nich się modli. Jeżeli znajduje się na szlaku, na plaży też obejmuje ludzi korzystających z tego światła fizycznego. Powinien też modlić się za ukrywają-



cych się przed światłem nadprzyrodzonym. Nigdy nie powinien przestawać być kapłanem. Wszędzie spotyka ludzi, za których może się modlić. Gdy parafianie poszli spać, to powinien wzrokiem modlitwy objąć tych, którzy mu zawierzyli: dzieci, łajdaków. Winien wezwać Aniołów, aby objęli swymi skrzydłami każdego. Ojciec święty błogosławi światu „urbi et orbi”, modli się zawsze.

Módlcie się i nie ustawajcie!

Osobny rozdział to modlitwa w piosence. Starajmy się, żeby były one naprawdę modlitwą. Mogą być szukaniem siebie, ale nie w melodii, tylko w słowach. Ks. Blachnicki, twórca oaz, mówił, że trzeba wychowywać siebie i młodzież do słuchania słów. Osobowość reaguje na słowa. Sama melodia wzbudza nastroje, uczucia. My często przeakcentowujemy nastroje w nabożeństwach. Niektórzy nie mogą się modlić, bo nie mają nastroju. Mogą modlić się tylko wtedy, gdy grają organy, tylko w kościele gotyckim albo tylko barokowym... Boże, gdzie jesteście? Dlaczego nie może się modlić, gdy pada deszcz, gdy jest burza? Niebezpieczeństwo przeakcentowania nastrojów. To nie ma nic wspólnego z modlitwą.

Modlitwa to oddanie się. Czasami nie mam nastroju, chcę oddalić się (tacy jesteście), ale pragnę oddać się, naprawdę chcę. To modlitwa. I na szumiącym dworcu można się modlić. Taka u nas jest moda, że koniecznie musi być nastrój, że przy takim tylko ołtarzu mogę odprawiać. A czemu nie w stodole, w bambusowym szałasie?

Kończymy niedokończone myśli modlitwą amerykańskiego żołnierza, której tekst znaleziono w skrwawionym mundurze po strasznym boju w Afryce Północnej:

*Dotychczas, Boże, nigdy do Ciebie nie mówiłem, lecz teraz chciałbym Ci powiedzieć – Jak się masz?*

*Posłuchaj, Boże, mówiono mi, że Ty nie istniejesz i ja jak głupi uwierzyłem w to.*

*Pewnego wieczoru, w głębi leja armatniego, ujrzałem Twoje niebo. Od razu spostrzegłem, że mnie oszukano. Gdybym miał czas spojrzeć na rzeczy, które Ty uczyniłeś, wiedziałbym, że ci ludzie wzbraniali się nazwać kota kotem.*

*Pytam Cię, Boże, czy Ty byś się zgodził uściśnić mi dłonie? A jednak czuję, że Ty mnie rozumiesz.*

*Ciekawe, kto mnie sprowadził na to przekłete miejsce, zanim miałem czas zobaczyć Twoją twarz.*

*Strasznie Cię kocham, oto, co chcę, abyś wiedział. Teraz idę w straszny bój. Kto wie, możliwe że przyjdę do Ciebie jeszcze tego wieczoru.*

*Dziwne, oto ja płaczę, ja, żołnierz ronię łzy.*

*Ach, gdybym znał Cię wcześniej! Dość! Trzeba iść...*

*Ciekawe, gdy Cię poznałem, nie mam już lęku przed śmiercią. Do widzenia!*

*I tak można się modlić.*

## 6. IDŹCIE I NAUCZAJCIE

Chrześcijanin każdy dzień i każdy zakręt na swojej drodze zaczyna znakiem krzyża i znakiem Trójcy Przenajświętszej. Otóż dzisiaj oczywiście ten Znak niech zapłonie żywym ogniem, niech zatętni żywym pulsem, bo to nie jest tylko znak. To jest Ktoś. To jest Życie. To jest Pełnia. Absolutna Pełnia Życia.

Uroczystość Trójcy Świętej ma zakurzenie, pogniecenie, skrzywienie a czasami nawet poplamienie. Panie, żałujemy, że jesteśmy tacy. Ale chcemy być inni.

Zwróćmy uwagę na, w gruncie rzeczy wstrząsające w swojej treści, słowa: *Dana Mi jest wszelka władza na Niebie i na Ziemi.*

Pomyślcie, bracia: *Dana Mi jest wszelka władza na Niebie i na Ziemi!* To znaczy – co chcę to mogę zrobić, uczynić co chcę. Mogę stwarzać i mogę niszczyć, ba, nawet mogę unicestwiać. Mogę budować, mogę wszystko burzyć, mogę śmierć zadawać i mogę wzywać życie. Wszelka władza! Boże mój!

I ludzie dążą do władzy. Boże, jak dążą!

Każdy człowiek chce mieć jakąś władzę i to najczęściej władzę największą...

Ale jakie to straszne i przerażające, żeby człowiek miał wszelką władzę!

Już wtedy widzimy więzy, kajdany, ciskający gniew z oczu. Widzimy siepaczy, słyszymy deptanie, plucie i podeptanie drugiego człowieka.

Straszne! Tyrani!

Znamy to wszystko, znamy i z historii, i prawie że z autopsji. Wiemy jak straszna jest władza w ręku człowieka. Jeden ze współczesnych pisarzy, właśnie rosyjskich, wschodnich, napisał: *Władza nieokiełznana moralnością jest nieszczęściem dla samego człowieka, który tę władzę posiada i dla wszystkich innych.*

Władza to straszna broń, która zadaje śmierć podmiotowi, temu kto władzę nosi i tym, którzy go otaczają. Straszne! Powtórzmy: władza nieokiełznana wyższą siłą jest nieszczęściem.

A myśmy sądzili, że to szczęście...

Prawda, niektórzy i dzisiaj tak sądzą.

Stąd też, odkąd chyba człowiek żyje w społeczeństwie, odtąd dążono do ograniczenia władzy człowieka. Z jednej strony człowiek rwał się do zdobywania wszelkiej władzy, ale z drugiej strony dążono do tego, żeby tę władzę ograniczyć, żeby ją okiełznać.

Usiłowano okiełznać władzę Aleksandra Wielkiego i władzę jeszcze wcześniejszych tyranów – faraonów, władzę Nerona, władzę cesarów i władzę absolutystycznych jaśnie oświeconych królów

i książąt, a nawet księży. I słusznie! Dzisiaj wszędzie, zwłaszcza w oświeconych krajach, dąży się do tego, żeby ograniczyć władzę prawem. Ludzie myślą jak zabezpieczyć człowieka przed władzą. Bo to szaleństwo, gdy człowiek otrzyma władzę, choćby nawet niewielką.

Moi drodzy, a właśnie Jezus mówi: *Dana Mi jest wszelka władza na Niebie i na Ziemi.*

Czujecie przyjaciele ten kontrast? Jezus miał wszelką władzę na Niebie i na Ziemi, a przecież nie nałożył więzów, a przecież nikogo nie podeptał, a przecież na nikogo nie napluł, a przecież nikogo nie uśmiercił. Nikogo! Nikogo do więzienia nie wpakował.

W dobre ręce dostała się ta władza!

I teraz podkreślając – *Dana Mi jest wszelka władza na Niebie i na Ziemi* – nie mówi, że przekazuje wam tę władzę absolutną i róbcie, co chcecie – idźcie, zdobywajcie, podbijajcie, twórzcie te społeczności i państwa, wspólnoty, twórzcie tę władzę. Jezus tego nie powiedział. Powiedział: *Idźcie i nauczajcie!* Tu może niektórzy zadali sobie pytanie, jaki to ma związek – *Dana Mi jest wszelka władza na Niebie i na Ziemi* i *Idźcie i nauczajcie?* Jakoby ta władza była przyczyną, źródłem. Właśnie, że jest głęboki związek, właśnie dlatego, że *dana Mi jest wszelka władza: Idźcie i nauczajcie...* Nie podnoście miecza, nie rozkazyjcie, nie nakładajcie więzów, nie trzymajcie w karchach, tylko: *Idźcie i nauczajcie!*

Kochani, a nauczanie to jest oświecenie, nauczanie to jest ukazanie wartości, nauczanie to

także i wychowanie, to wyzwolenie w człowieku wartości. Trudna praca. Bodaj byś uczył cudze dzieci, bodaj byś wychowywał cudze dzieci... Jaka trudna praca i Jezus właśnie tę pracę zleca apostołom.

Ku czemu właściwie to nauczanie i wychowanie Jezusowe ma zmierzać?

Przez ukazywanie wartości i wyzwolenie tych wartości ma zmierzać ku jedności. Właśnie. I tutaj wychodzi ta nadwartość, to źródło „wszystkości” – Trójca Przenajświętsza.

Co to jest Trójca Przenajświętsza?

Niektórzy z was tutaj mówią: głupie pytanie. Jak to odpowiedzieć na takie wąskie, głupie pytanie: Czy Trójca Przenajświętsza jest egzystencjalną, tętniącą życiem, blaskiem Tajemnicą, Tajemnicą Życia i Źródłem Życia? Otóż bez wątpienia, częściowo to jest głupie pytanie. Ale możemy to pytanie w cudzysłowie postawić.

I otóż czym jest Trójca Przenajświętsza?

Jest Wielością w Jedności, Wielością w Jedności, jest najdoskonalszą Jednią, komórką macierzystą, źródłową komórką życia. Jest właściwie Prototypem i Pratytem, i Praźródłem życia. Jedność w Wielości. Świat się składa z elementów, z wielości. Już dzisiaj, kto jak kto, ale my, ludzie XX wieku, wiemy jak świat jest złożony, jak jest złożona jego niewidzialna komórka organiczna czy nieorganiczna. A proszę zważyć, że te komórki, te elementy dążą do jedności, do tworzenia jedności. Ta cegła i ten kościół, i my, jako istoty fizyczne, i my, jako istoty psychiczne nawet,

wszystko dąży do jedności. I to na zasadzie wewnętrzznego magnesu.

Nie stworzy się dobrej, głębokiej, a zwłaszcza idealnej jedności przez napędzanie, przez ściskanie, przez proszenie, przez nakładanie obręczy. Proszę ją stworzyć z elementów atomu przez ściskanie, przez naginanie, przez kucie i bicie. Proszę stworzyć. Nic się nie stworzy. Natomiast stworzy się tę jedność na zasadzie wewnętrznego przyciągania, na zasadzie grawitacji wewnętrznej. Jeżeli element ma w sobie coś z tej siły grawitacyjnej „Q”, wtedy dopiero te elementy tworzą jedność, taką jedność, której młotem nie można rozbić w świecie fizycznym, a świecie moralnym analogicznie.

Cóż w świecie moralnym jest tym magnesem, tą siłą przyciągającą, tą siłą grawitacyjną?

Wiemy, na pamięć już to wiemy, ale powiedzmy to sobie – miłość. Tak jest, miłość!

To jest siła grawitacyjna, która może stworzyć z wielości – jedność. Jedność w człowieku, jedność w rodzinie, jedność w społeczeństwie i jedność w rodzinie ludzkiej.

Moi drodzy i oto Jezus, wskazując na Tróję Przenajświętszą, dzisiaj ukazuje nam model, ukazuje nam drogę przez Apostołów: mamy wszyscy dążyć do jedności, ale nie za pośrednictwem władzy, siły, krzyczenia, naginania, napędzania, przez straszenie.

Tą drogą możemy stworzyć społeczeństwo kolektywne, bezdusznego kolektywu, w którym wewnątrz się nienawidzimy i żyje się tylko na zasadzie

wspólnoty strachu. Coś upadającego dla człowieka. Ten bezduszny kolektyw, ten stworzony.

Albo możemy stworzyć grupy aresztantów bojących się i tworzących pewną grupę. Możemy stworzyć stado! Tak, stado można stworzyć przy pomocy napędzania i rozpuszczania owczarków, które pilnują tego, stada baranów, owiec itp.

Natomiast nie można stworzyć wspólnoty, organicznej wspólnoty, przy pomocy tych zewnętrznych sił. Oto co Jezus nam wskazuje – i model, i drogę. Nie krzyczenie, nie nakazywanie, nie więzienie, nie tłumienie, nie nakładanie kajdan, nie bicie, nie. To nic nie pomoże.

Powtarzamy – kolektyw, stado, aresztanci...

To daleka, trudna droga, w tym ukazywaniu wartości i wyzwaniu miłości. Ale Jezus sam tą drogą szedł.

Patrzcie, gdzie nagiął, gdzie krzyczał, gdzie więził, gdzie wkładał jakieś obręcze, ażeby stworzyć wspólnotę?

Szedł drogą ukazywania i wyzwania wartości!

Długa droga i pozornie nawet na krótkiej fali mało skuteczna. Bo iluż Jezus miał w swoim gronie? Dwunastu i to jeden element tego pierwotnego atomu wyłamał się. A potem z ogromnym trudem tworzyły się te komórki organicznej jedności i po dwóch tysiącach lat nie mamy jeszcze rodziny rodzin, tej wspólnoty, międzynarodowej wspólnoty globalnej.

Jeszcze daleko nam do tego, kiedy jeszcze w rodzinach są tendencje antygravitacyjne, odśrodkowe, tendencje antymiłości.



No i cóż? Wtedy co, chwytać za broń? Przyna-  
glać, przyspieszać, napędzać, syczeć, deptać, pluć,  
więzić?

To nic nie pomoże.

Odwrotnie, te metody oddalają od celu.

Otóż, przyjaciele drodzy, wtedy wiemy, co  
mamy czynić. Wiemy, kochani, w trudzie, w cier-  
pliwości, trzy razy w cierpliwości, w jedności  
z Nim, tylko w jedności z Nim. Przez kontakty,  
najwyższe kontakty ze Źródłem, Praźródłem Ab-  
solutnej Wielkiej Miłości, tym Praźródłem Wiel-  
kiej Energii Grawitacyjnej „Q”.

Zapalać, wyzwalać w sobie tę siłę, dynamicz-  
ną siłę przyciągania i iść dalej. Co zrobimy, to  
zrobimy. Zresztą On nas wesprze, jeżeli napraw-  
dę będziemy chcieli i jeżeli my będziemy sięgali  
po „skuteczną broń”.

Bo nam się wydaje, że przecież prosta droga,  
skuteczniejsza – nakrzyczeć, postraszyć, zmusić,  
zwłaszcza władzą fizyczną i ma miejsce kolektyw,  
i ma miejsce rodzina. I mamy już dzieci bardzo  
posłuszne.

Ale cóż z tego?

To nieskuteczne, wszystko jest sztuczne.

To jest grzyb, purchawka. Nadepnąć i wszyst-  
ko rozlatuje się...

Przyjaciele, wielkie zadanie, bardzo wielkie za-  
danie, ale jeszcze większe Źródło Mocy. Jeszcze  
większy Przewodnik, Wychowawca i Nauczyciel!

Dzięki Ci, Panie Jezu, któremu była dana  
wszelka władza, a Tyś z tej władzy nie skorzy-  
stał, żeby nas teraz już ukarać.

Ty jesteś cierpliwy, cierpliwy, cierpliwy.

Dzięki Ci za to, żeś nigdy nie nadużył tej władzy, wszelkiej władzy. Że w cierpliwości, w czasie, w miłości wyzwalałeś nas, oczekiwałeś, prowadziłeś.

Oczekujesz, prowadzisz i prowadzić będziesz.  
Dzięki Ci, Panie, za to wszystko!

## 7. NIE BÓJ SIĘ...

(kazanie wygłoszone przez ks. A. Zienkiewicza na Mszy św. Prymicyjnej Autora „Wstępu”)

Księżę Tadeuszu! Wyprawileś nam dzisiaj wielkie wesele, przyniosłeś nam wielką radość. Kilkanaście lat temu byłeś jeszcze w gronie dorastających ministrantów, w czerwonej pelerynce, a może nawet w zwykłej komży. Później znalazłeś się na studiach wyższych, na Akademii Rolniczej i tam usłyszałeś już wyraźniej głos Pana, wzywający Cię do wyższych spraw, wyższych rzeczy. Porzuciłeś, pozostawiłeś studia wyższe na uczelni świeckiej i poszedłeś do seminarium duchownego. Zasiadłeś wśród najmłodszych i przez sześć lat trwałeś na modlitwie, na rozważaniu, na studiach w tym seminarium duchownym. I oto wczoraj na twoją głowę włożył ręce biskup i przekazał ci, łącznie z twoimi kolegami, władzę kapłańską. Włożył ci ją na twoją głowę i twoje ramiona. I od wczoraj masz prawo, poniekąd obowiązek, dodawać przed swoim imieniem „ksiądz”.

Do wczoraj nie byłeś księdzem. A od wczoraj jesteś ksiądz. I dzisiaj jesteś księdzem. Jest to nie tylko twoja osobista uroczystość i radość. Ale jest to także radość i uroczystość twoich przyjaciół, przede wszystkim twojej rodziny, która jakies zadatki twojego powołania mogła już z pewnością dostrzec. I która w jakiejś mierze przyczyniła się do hodowania tego zalążka, tego ziarna twego powołania. Jest to także uroczystość i parafii tego osiedla, bo to jest również środowisko, jakby poniekąd w szerszym znaczeniu łono matki, w którym rozwijają się ludzie, dojrzewają ludzie. A więc nawet nieświadomie, drodzy przyjaciele, przyczynialiście się do pielęgnowania tego powołania w tym waszym bracie, waszym Tadeuszu. Kiedyście się modlili, wtedy, gdyście przychodzili na Mszę św., wtedy gdyście przyjmowali Eucharystię, wtedy pomagaliście mu dojść do tej godności. Jest to także święto, uroczystość całego Kościoła Powszechnego, bo oto Kościół nadal oczekuje na nowych robotników, jako że żniwo jest wielkie, a robotników wciąż mało. Nawet w naszej Ojczyźnie jest za mało, a na świecie o wiele za mało. Otóż każdy taki przybytek to jest radość całego Kościoła Powszechnego na czele z Ojcem Świętym.

Drodzy przyjaciele, Prymicjancie, proboszczu drogi, drodzy kapłani tutaj obecni. Żebyśmy jednak nie zapomnieli w świetle tej uroczystości, kto jest głównym jej Bohaterem, żebyśmy nie przynieśli swoich myśli, uczuć bez zastrzeżeń na osobę naszego drogiego i bezcennego Prymicjanta.

Żebyśmy nie zapomnieli, że głównym Bohaterem w każdym kościele, w każdej świątyni, w każdej wspólnocie chrześcijańskiej, w każdej uroczystości to nie jest człowiek, tylko Syn Boży, tylko Bóg – Człowiek. On jest Bohaterem numer jeden. Dzisiaj również. Nie zapominajmy, że to Jego była główna rola, to On spowodował, że Tadeusz został kapłanem, księdzem Tadeuszem. Właśnie On powiedział i przed chwilą czytaliśmy Jego Słowa: *Nie wyście Mnie wybrali, ale Ja was wybrałem*. Jezus go wybrał, a nie my wybieraliśmy. Ani on też sam nie wybierał. A więc Jezus. I Jemu należą się przede wszystkim dzięki. Jemu należy się chwała za to, co się stało w naszej parafii i w naszym Kościele Powszechnym. I ostatecznie nie biskup przekazał mu tę władzę kapłańską. Owszem, biskup podzielił się tą władzą Chrystusa z tym właśnie naszym bratem Tadeuszem. To Jezus powiedział do wybranych przez siebie Apostołów, pierwszych kapłanów: *Idźcie i nauczajcie wszystkie narody*, a więc tym samym mówi do naszego księdza Tadeusza: idź i nauczaj.

Odtąd jesteś nauczycielem najwyższej rangi. Nie ma większego nauczyciela na ziemi poza nauczycielem – kapłanem Chrystusowym. To Jezus powiedział do Apostołów, a przez nich także i do ich następców, do biskupów i kapłanów: To czynicie na moją pamiątkę, gdy przemienił chleb w Ciało Swoje, a wino w Krew Swoją. Jezus sam ofiarował się Bogu jako Baranek, jako wyraz najwyższego oddania się Bogu Najwyższemu i ludziom. I oto ksiądz Tadeusz od dnia wczorajszego ma

prawo stawać przy ołtarzu, ma prawo wymawiać słowa: „To jest Ciało moje”, „to jest Krew moja” i ma prawo ofiarować właśnie tego Najświętszego Baranka, Pana naszego Jezusa Chrystusa.

To Jezus powiedział do Apostołów po swoim zmartwychwstaniu: *Weźmijcie Ducha Świętego, którym odpuscicie...*

Ma prawo zasiąść do konfesjonału, ma prawo po wysłuchaniu wyznania wyciągnąć dłoń nad pochylonym grzesznikiem i powiedzieć w imieniu Chrystusa: bracie, siostrzo, odpuszczają ci się grzechy twoje. Gdyby to uczynił przedwczoraj, popełniłby ciężkie przekroczenie, to byłoby bluźnierstwo, szaleństwo, żeby ktoś bez święceń kapłańskich siadł do konfesjonału, wyciągnął dłoń i mówił: odpuszczają ci się grzechy twoje. Wtedy usłyszelibyśmy głos faryzeuszów, zupełnie słuszny: *Któż może odpuszczać grzechy? Jeno sam Bóg.* Tak, któż może odpuszczać grzechy? Ten, któremu Bóg przekaze tę władzę, z którym tą władzą się podzieli. A oto Jezus dzieli się właśnie tą władzą ze swoimi wybranymi Apostołami i kapłanami. A więc ogromna godność.

Pamiętam, gdy włożono mi ornat na tej Mszy św., na której otrzymaliśmy święcenia kapłańskie, poczułem coś przerażająco przygniatającego. Chciałbym znów upaść na posadzkę kościoła i leżeć. Przygniatający ciężar. Boże, przerażający. Ale na szczęście usłyszałem zapamiętane słowa Jezusa: *Jarzmo moje jest słodkie, a brzemię moje jest lekkie.* Tak Jezus powiedział. Jarzmo Jego jest słodkie, a brzemię Jego jest lekkie. Kto Jemu się

odda bez reszty, kto padnie przed Nim na kolana i na twarz na posadzkę, przyjmując Jego wolę, wtedy przestaje odczuwać ciężar Jego Krzyża. Wtedy się wyprostowuje, bo staje przy nim Jezus w postaci Szymona z Cyreny i pomaga dźwigać krzyż. Już On za mnie teraz krzyż dźwiga, jeżeli jestem przy Nim, z Nim i w Nim. Boże, a stąd i zowąd nasi bracia bardzo płytko patrzący na te sprawy, mówią do młodego księdza albo jeszcze przedtem mówią: będziesz sam, wyłączysz się z tej wspólnoty ludzi. Nie będziesz miał prawa mieć żony ani dzieci. Gdy umrze ci matka, zostaniesz zupełnie sam. Boże, zupełnie sam, nawet bez życzliwych krewnych, zupełnie sam. W pierwszej chwili przygniatająca informacja, przygniatające wieści. Ale znów przypominam sobie scenę z życia Jezusa: zapełniona synagoga ani szpilki wsadzić. Ktoś się przedziera z zewnątrz i woła do Jezusa: Matka Twoja, Twoi bracia i Twoje siostry, czyli Twoi krewni, przybyli, aby z Tobą się spotkać. Jezus podnosi głowę i z żarzącymi źrenicami spogląda na otaczający Go tłum i mówi: *Któż jest moją matką albo kto moimi braćmi i siostrami? Oto ci, którzy słuchają słowa Bożego i strzegą Go. Oto moi bracia i siostry. I kto jest moją matką?* Jest to dla nas niedościgniony wzór, niedościgniony model. Ale ja, jako ksiądz, wyłączający się właśnie z tej naturalnej wspólnoty, wchodzę w wyższą wspólnotę, we wspólnotę z ducha. I wtedy słabną te więzy krwi naturalnej. Wtedy na pierwszy plan wysuwają się więzi duchowe. Oto moi bracia i moje siostry: ci, którzy przychodzą do kościoła, którzy

wspólnie się modlą, którzy wierzą w tego samego Pana Boga, którzy pracują nad sobą, którzy przyjmują Eucharystię, którzy starają się kochać Pana Boga. Oto moja rodzina. I oto znów się wyprostowuję, znów opadają te biadolenia nad losem kapłana. Tylko cóż, tylko wtedy oczywiście kapłan będzie przeżywał radość lekkiego brzemienia i tego słodkiego jarzma, i wtedy tylko będzie się czuł dobrze w tej wielkiej rodzinie dzieci, dorastających, starszych, jeżeli będzie to w pełni służba, posłannictwo, posłuszeństwo. A więc, jeżeli będzie dobroć, jeżeli będzie wszystko w imię Jezusa. A mowa Jezusa jest twarda. Czasami przyjdzie pokusa, aby tej twardej mowy nie ujawniać, żeby ukazać Jezusa nieco okrojonego, nieco ufryzowanego. A mowa Jezusa jest twarda. I otóż On oczekuje, że jako ludzie wzięci z tego świata i pozostający w tym świecie nie będziemy przykrawać tej mowy Jezusa, że będziemy mówić w Jego imieniu i zgodnie z Jego myślą, zgodnie z Jego czasem twardymi wymogami. Mamy nauczać.

Bracie drogi, Tadeuszu, kapłanie, nie bój się też konfesjonału. To brzemie, gdy się posłyszysz ciężkie grzechy ludzkie, gdy zajrzy się w głąb czasem zrobaczywiałej duszy człowieka. Straszne rzeczy. Bo przecież Słowacki pisał: *Niczym Sybir, niczym knuty, ni cielesnych tortur ból, lecz narodu duch zatruty, to dopiero bólów ból*. Ból straszny. Niektórzy sądzą, że spowiadanie ludzi, słuchanie ich sekretów jest ciekawe. To jest ciężkie, straszne, toteż nic dziwnego, że niektórzy kapłani uciekają, unikają tego konfesjonału. Nic dziw-



nego, może to strach. Nie gorszcie się tym, ciężko zanurzyć się czasami w tę otchłań zła, ale nie bójmy się, zaraz usłyszymy Jego głos, poczujemy Jego obecność. I nie ja, tylko On bierze na swoje ramiona to zło i upodlenie. On wyciąga dłoń nad tym człowiekiem skruszonym i On podaje mu ramię, i podnosi Go czasami z rynsztoku upodlenia. To wszystko On. I dzięki temu możemy się nie łamać. I nie łamiemy się. To On jest tutaj naszym głównym Bohaterem i naszą ostoją, i naszą podporą.

Nie bój się, bracie, także stawać przy ołtarzu i sprawować Najświętszą Ofiarę. Nie bój się, kochany. Czasami i to jest przerażające, gdy sobie uświadomimy, co robimy. Tutaj składamy nie pszeniczne kłosa, jak w starożytności, nie baranka, zwierzątko, tylko składamy w ofierze Syna Bożego. Mogą nam ręce zadrzeć, gdy weźmiemy w swoje palce tę Hostię. Mogą nam zadrzeć ręce, gdy weźmiemy w swoje ręce ten Kielich. Mogą. Może przeniknąć cały nasz organizm duchowy fala lęku, przerażenia. Ale znów: to On jest głównym Bohaterem. To On jest Ofiarą, tym Barankiem i On w gruncie rzeczy sprawuje tę Najświętszą Ofiarę. A więc znów: jarzmo moje słodkie, a brzemię lekkie. Ale gdy idzie o ten Najświętszy Sakrament, to powinniśmy wszyscy, a szczególnie my, kapłani, roztaczać nad nim szczególną „opiekę”, szczególną troskę. Ażeby ten Jezus nie był zamknięty, samotny w tabernakulum, żebyśmy nie tylko o Nim przypominali na Mszy św., ale żebyśmy pamiętali także (i to wszystkich do-

tyczy) po Mszy św. Żebyśmy czasami znaleźli się tutaj w promyku tej rubinowej lampki, która wciąż mówi ludziom, chrześcijanom: tutaj On jest. On, Najświętszy i Najwierniejszy. A więc od czasu do czasu powinniśmy się tu znaleźć, nawet samotnie. A jeżeli, bracie Tadeuszu, będziesz kiedyś proboszczem, nawet jakiegoś bardzo zabytkowego kościoła, wspaniałego kościoła (niemało takich na Dolnym Śląsku) i gdy będziesz oprowadzał ludzi, czy dzieci po tym kościele, najpierw zwróć uwagę na tę rubinową lampkę naszego Więźnia Miłości. On jest tutaj Panem i głównym Bohaterem. A potem dopiero, na końcu możemy ukazać te zabytkowe: i ołtarze, i konfesjonały, i obrazy. On jest tutaj głównym Bohaterem. Żebyśmy nie popłynęli na fali płycizny: tak wielu chrześcijan przychodzi do kościoła i nie widzą nawet tej lampki wieczystej i nie przystają, gdzie Najświętszy Sakrament, tylko z miejsca zadzierają głowy i oglądają tylko to, co jest zabytkowe. Cóż to jest wobec majestatu nieskończonej Miłości, która właśnie tutaj zamieszkała i na której cześć w gruncie rzeczy każda świątynia jest wzniesiona. Czy ona będzie pod wezwaniem Matki Bożej czy Judy Tadeusza, każda świątynia jest właściwie pomnikiem chwały naszego Pana Jezusa Chrystusa.

Drogi, nie zawsze cię uszanują, nie zawsze. Czasami nawet, jeżeli będziesz głosił twardą mowę Ewangelii, mogą powiedzieć twardym słowem, mogą rzucić kamieniem, a nawet i ukrzyżować cię, kapłanie. Mogą. Tak jest, to nie jest

legenda. Jezus przewidział te rzeczy. Jezus przestrzegał nawet. A dzisiaj widzimy na wielkiej orbicie świata: oto pierwszy kapłan, czy arcykapłan na ziemi, dla chrześcijan świętość, Namiestnik Chrystusa został ugodzony zbrodniczą kulą i to na terenie najbliższej swojej parafii, swojego kościoła. Dlaczego został ugodzony, pytamy? Bo był w tym świecie, ale nie z tego świata. Bo Ojciec Święty, Jan Paweł II i jego poprzednicy, a on szczególnie, nie ukrywał twardej mowy Jezusa. On jednoznacznie głosił Ewangelię. On nie łagodził tego, co nie może być złagodzone. On mówił prawdę ewangeliczną. Dlatego został napadnięty przez sługę złego ducha. Coś z tego może przejść i na mnie, na duszpasterzy, na kapłanów. Takie rzeczy miały miejsce. Mimo wszystko, drodzy, trzeba całą prawdę Ewangelii powiedzieć, bez względu na to jak do nas będą się odnosili nasi bracia ochrzczeni i nieochrzczeni.

Dziś śpiewamy: „Hosanna” na twoją także cześć, ale lepiej, jeżeli na cześć Pana Boga.

Drodzy bracia, przypominając kim jest w gruncie rzeczy kapłan, dzięki czyniąc Panu Bogu, staramy się, kochani, czcić także i tego kapłana. I tego, który się nam bardzo podoba i tego, który nawet nosi w sobie jakieś wady, czasami nawet takie rzeczy mogą mieć miejsce, czasami są okryci jakimiś grzechami. Drodzy przyjaciele, szanujmy wszystkich, nawet i z wadami. Nie mówię tutaj o całowaniu ręki, może to nie istnieć, ale jeżeli, jak dzieci dzisiaj mówiły, te ręce kapłańskie są

namaszczone, są przeznaczone do błogosławieństwa, to korona wtedy z głowy nie spadnie, jeżeli ktoś temu kapłanowi całuje dłoń.

Pamiętam taki incydent w moim życiu kapłańskim, gdy byłem jeszcze takim młodym kapłanem. Oto przyszedłem na pewne przyjęcie. Było dużo młodzieży, która swobodnie się czuła. Nic grzesznego nie było ani żadnej pijatyki, ale czuliśmy się swobodnie. Trochę śpiewaliśmy. I wśród naszego grona był staruszek. Starszy, pochylony pan z siwą brodą. I gdy skończyliśmy ten podwieczorek, on podszedł do mnie i podał mi rękę. I w pewnym momencie, zanim się zorientowałem, ucałował moje dłonie. A byłem młodym kapłanem. Wyrwałem mu te dłonie, a on spojrzał na mnie z wyrzutem i mówi: księżę, ja całuję dłonie Pana naszego Jezusa Chrystusa przez księdza. Niech ksiądz nie sądzi, że ten pocałunek jest przeznaczony tylko dla księdza. To dla mnie było najgłębsze chyba kazanie, jakie usłyszałem o kapłaństwie. I od tamtego czasu pamiętam, wciąż uświadamiam sobie, jaka jest moja godność, że dla niej jestem poniekąd drugim Chrystusem. I poniekąd drugim Chrystusem muszę być jako kapłan dla moich braci, dla moich wiernych.

Przyjaciele drodzy, gdy uczestniczę w wielkich uroczystościach, zwykle nasuwa mi się jeszcze jedna refleksja, uwaga. Lubimy jednak uroczystości, lubimy i prymicje, i wizytacje naszych biskupów, lubimy i chrzciny, wesela, rocznice, jubileusze. Pewnie, odświętne stroje, dużo kwiatów. Wtedy girlandy, bukiety, piękne przemówienia

i to ile przemówień. Myślę sobie, Boże mój, a co na co dzień. Gdy przejdzie taka uroczystość, czy domowa czy kościelna – tyle tego wszystkiego, tych pięknych słów i kwiatów, że nie możemy pomieścić tego. A co na co dzień, co po takich prymicjach, co po takim jubileuszu, co po rocznicy ślubu, co po tych chrzcinach, co po tych kwiatkach pozostanie? Boże mój. Radziłbym, kochani, rozkładać te kwiaty na płatki i rozkładać te wiersze na słowa, i rozkładać, te uśmiechy radości i te śpiewy na zdania i zwrotki. I na co dzień je przekazywać, po jednej kropelce tego radosnego wina, tego uśmiechu – po jednym płatku na co dzień. Bo niestety, w duszy waszej po takiej uroczystości ma miejsce pustka, wszystko wyczerpane. I w duszy waszego ojca również może przyjść na co dzień taka jakaś pustka, smutek, zmartwienia, kłopoty. A nawet i w duszy kapłana może znaleźć miejsce właśnie jakieś przygnębienie, taka jakaś pustka, choćby na kilka godzin. Boże, jakby on się cieszył, żeby któreś z dzieci przyniosło mu kwiatek, ale raczej kwiatek uśmiechu; żeby ktoś ze starszych przyszedł i za coś podziękował temu księdzu; żeby ktoś po tej uroczystości złożył również wyrazy uznania; żeby ktoś właśnie po jakimś kazaniu powiedział nie tylko, że się mu podobało to kazanie, ale żeby powiedział coś konkretnego i żeby więcej się takich znalazło. Czy wy nie zdajecie sobie sprawy jak cierpiemy nad tym, gdy nie wiemy do kogo mówimy? Gdy nie wiemy, czy ci ludzie słuchają? Czy ci ludzie coś z tego wynoszą, czy się cieszą nami. Cza-

sami mówimy jak do ściany. Nie wiemy do kogo i to jest strasznie ciężkie dla kapłana. Pyta, czy czasami on nie mówi na próżno, czy nie rzuca czasami, mówiąc językiem Jezusa, pereł przed wieprze. Jakby to było inaczej, gdyby zawsze ktoś przyszedł i coś powiedział. Nie jeden, dwóch, trzech, ale z pięciu żeby coś powiedziało. Niech nawet coś krytycznego powie: że ksiądz powinien zwrócić uwagę na to czy na tamto. Czy ksiądz tutaj nie dopowiedział, może że za ostro powiedział w tym przemówieniu swoim. A więc rozkładać te girlandy, te wiązanki, te śpiewy właśnie na codzienne, drobne płatki, drobne słowa, uśmiechy, uściski dłoni, podziękowanie, przeproszenie.

Boże, tego temu naszemu Prymicjantowi i nam, wszystkim kapłanom, i wam, drodzy przyjaciele, z całego serca życzę, ażeby z tej dzisiejszej uroczystości coś pozostało. Ażebyście dzięki czynienie Panu Jezusowi rozłożyli na dzień powszedni w codziennej modlitwie i w tej Mszy św. niedzielnej. Bo przecież Mszę św. odprawia się za parafian w każdą niedzielę. Ażebyście w każdą niedzielę przypomnieli sobie te prymicje i żebyście pamiętali, że Jezus oczekuje w każdą niedzielę, nie tylko w czasie prymicji i na Boże Narodzenie, i na Zesłanie Ducha Świętego, tylko w każdą niedzielę. Żeby to rozłożyć wszystko na te powszednie niedziele i na te powszednie dni. No i żeby coś zostało w waszych sercach, nie tylko Prymicjanta, coś z tej pięknej poezji, z tych wierszyków, które recytowały wasze miłe, drogie dzieci. A to będzie tworzyło tkankę naszego co-

dziennego, chrześcijańskiego życia. Życia w dobroci, życzliwości, a więc życia wiodącego do najwyższej wartości, jaką jest przyjaźń z Bogiem i miłość do Boga, i do naszych kapłanów, i do naszych braci. A to jest właśnie źródło szczęścia.

Henryk Sienkiewicz napisał: *Małżeństwo to służba Boża, a szczęście to podarek Boży*. Otóż nie tylko małżeństwo jest służbą Bożą. Służbą Bożą par excellence jest służba kapłańska. Służbą Bożą jest życie na co dzień według Ewangelii. A jeżeli będziecie pełnili służbę Bożą, będziemy ją wszyscy pełnili, przyjdzie i ten podarek, o który, Panie Boże, dziś prosimy w postaci promyków szczęścia.

I tego, z całego serca życzymy naszemu Prymicjantowi i chyba wszystkim drogim kapłanom, i sobie nawzajem. Amen.





# ANEKS

## Program Rekolekcji Roku Akademickiego 1976/77

Przewodniczy: Ks. Aleksander Zienkiewicz

26.10 (wtorek)

19<sup>30</sup> Rozpoczęcie – Veni Creator – Różaniec  
– Konferencja wstępna

27.10 (środa)

6<sup>00</sup> Wstanie

6<sup>30</sup> Modlitwy poranne – Msza św. koncelebrowana  
z homilią

8<sup>00</sup> Śniadanie

9<sup>00</sup> Konferencja I

10<sup>15</sup> Czytanie duchowne (indywidualne) –  
Refleksje – Modlitwy

11<sup>00</sup> Konferencja II – Anioł Pański z rachunkiem  
sumienia

12<sup>00</sup> Obiad

15<sup>00</sup> Spotkanie z Bogiem – Godzina Biblijna

16<sup>00</sup> Podwieczorek

17<sup>00</sup> Konferencja III

18<sup>00</sup> Kolacja

20<sup>00</sup> Nabożeństwo Różańcowe – Modlitwa  
w milczeniu do godz. 21.15

22<sup>00</sup> Spoczynek

28.10 (czwartek)

Św. App. Szymona i Judy Tadeusza

Jak we środę z wyjątkiem:

15<sup>00</sup> Spotkanie z Bogiem w Wielkiej Poezji

29.10 (piątek)

Dzień spowiedzi rekolekcyjnej

Jak we środę z wyjątkiem:

10<sup>00</sup> – 13<sup>00</sup> Spowiedź św. rekolekcyjna

13<sup>00</sup> Obiad

15<sup>00</sup> Spotkanie z Chrystusem w Drodze Krzyżowej

30.10 (sobota)

6<sup>00</sup> Wstanie

6<sup>30</sup> Nabożeństwo – Te Deum Laudamus –  
Zakończenie rekolekcji

10<sup>00</sup> Msza św. w Katedrze – Kandydatura  
Roku Piątego

**Szczęść Boże!**





WYDAWNICTWO OO. FRANCISZKANÓW

„Bratni Zew” sp. z o.o.

ul Grodzka 54, 31-044 Kraków

tel. (012) 428 32 40, tel./fax (012) 428 32 41

*Szanowni Państwo!*

Wydawnictwo OO. Franciszkanów „Bratni Zew” prowadzi wysyłkową sprzedaż książek o tematyce religijnej – w cenie hurtowej za zaliczeniem pocztowym.

Bardziej szczegółowe informacje można uzyskać pod numerem tel. (012) 428 32 40, tel./fax (012) 428 32 41

#### **Niektóre pozycje z naszej oferty:**

1. **„Sztuka życia. Rozwój osobowy a szczęście”**  
– CLAUDIO MINA
2. **„Misterium czasu”** – DAWID M. TUROLDO
3. **„Izrael opowiada swoje dzieje. Wprowadzenie do Ksiąg: Powtórzonego Prawa, Jozuego, Sędziów, Samuela i Królewskich”**  
– JULIUSZ ST. SYNOWIEC OFMCONV
4. **„Według św. Łukasza. Abyś się mógł przekonać o całkowitej pewności nauk”** – PIOTR R. GRZYIEC OFMCONV
5. **„Patriarchowie Izraela i ich religia”**  
– JULIUSZ ST. SYNOWIEC OFMCONV
6. **„Kazania o Najświętszej Maryi Pannie”** – ŚW. BONAWENTURA  
– tłum. CECYLIAN NIEZGODA OFMCONV
7. **„Według świętego Mateusza. Stary Testament ukryty w Nowym”** – PIOTR ROMAN GRZYIEC OFMCONV
8. **„Ja i grupa. Człowiek między samotnością a społecznością”** – CLAUDIO MINA
9. **„Prorocy Izraela, ich pisma i nauka”**  
– JULIUSZ ST. SYNOWIEC OFMCONV
10. **„Poradnik spowiednika. Cenzury, nieprawidłowości i przeskody w Kodeksie Prawa Kanonicznego.”**  
– GIOVANNI CICCOLA OFMCONV
11. **„Mojżesz i jego religia”** – JULIUSZ ST. SYNOWIEC OFMCONV

12. **„Według św. Marka. Mały przewodnik egzegetyczno-teologiczny”**  
– PIOTR R. GRZYBIEC OFMCONV
13. **„Mówić o Bogu ...”** – red.: ZDZISŁAW KIJAS OFMCONV
14. **„Objaśnienia trudności nowotestamentalnych”**  
– BP KAZIMIERZ ROMANIUK
15. **„Spotkania przy studni. Rozważania o teologii Ewangelii  
wg św. Jana”** – PIOTR R. GRZYBIEC OFMCONV
16. **„Duchowość franciszkańska. Istota i podstawowe treści.  
Chrześcijańska propozycja życia na dziś”**  
– GIOVANNI LAMMARRONE OFMCONV
17. **„Naśladowcy św. Franciszka”** – CECYLIAN NIEZGODA OFMCONV
18. **„Przewodnik do nieba. Zasady życia chrześcijańskiego”**  
– KS. ALEKSANDER ZIENKIEWICZ
19. **„Matka Boga i ludzi – Królowa rodzin. Czytanki na maj  
lub październik”** – WŁODZIMIERZ M. PADO OFMCONV
20. **„Homo Creatus est. Ekumeniczne studium antropologii”**  
– ZDZISŁAW KIJAS OFMCONV
21. **„Jak pokochać wszystkich, nawet wrogów..  
Kazanie na Górze: Mt 5, 17-48”** – BOGUCHWAŁA KURAS OSU
22. **„Wierny posłannictwu”** – CECYLIAN NIEZGODA OFMCONV
23. **„Święty Antoni z Padwy. Życie, myśl i dzieło”**  
– red.: C. ST. NAPIÓRKOWSKI OFMCONV, ZDZISŁAW KIJAS OFMCONV
24. **„Dziesięć przykazań. Wj 20, 1-17; Pwt 5, 6-20”**  
– JULIUSZ ST. SYNOWIEC OFMCONV
25. **„Kazania wybrane”** – ZDZISŁAW GOGOLA OFMCONV
26. **„Święty Antoni z Padwy – mistrz w szkole franciszkańskiej”**  
– red.: C. ST. NAPIÓRKOWSKI OFMCONV, ZDZISŁAW J. KIJAS OFMCONV
27. **„Pięcioksiąg. Wprowadzenie do ksiąg: Rodzaju, Wyjścia,  
Kapłańskiej, Liczb i Powtórzonego Prawa”**  
– JULIUSZ ST. SYNOWIEC OFMCONV
28. **„Rodzić się dla świata wyższego. Rekolekcje wielkopostne”**  
– KS. ALEKSANDER ZIENKIEWICZ
29. **„Wprowadzenie do medytacji”** – MARIANO BALLESTER
30. **„Arcybractwo Męki Pańskiej”**  
– red.: PAWEŁ K. SOLECKI OFMCONV

31. „*Święci a pojednanie Kościołów. Święci łączą czy dzielą?*”  
– red. Zdzisław Kijas OFMConv
32. „*Magisterium – teolog. Historia dialogu*”  
– red.: ZDZISŁAW KIJAS OFMConv
33. „*Dlaczego Kościół broni życia?*” – WITOLD KAWECKI CSsR
34. „*Wprowadzenie do Księgi Psalmów*”  
– JULIUSZ ST. SYNOWIEC OFMConv
35. „*Czytać Biblię - koniecznie!*” – BP KAZIMIERZ ROMANIUK
36. „*Maryja w Katechizmie Kościoła Katolickiego*”  
– red.: C. ST. NAPIÓRKOWSKI OFMConv, LIC. B. KOCHANIEWICZ OP
37. „*O Najświętszej Maryi Pannie w maju, październiku  
i przez cały rok*” – WŁODZIMIERZ M. PADO OFMConv
38. „*Bernard, Maciek i inni...*” – PIOTR R. GRYZIEC OFMConv
39. „*Mędrcy Izraela, ich pisma i nauka*”  
– JULIUSZ ST. SYNOWIEC OFMConv
40. „*Kościół a nowy porządek świata*” – WITOLD KAWECKI CSsR
41. „*W szkole modlitwy świętych Franciszka i Klary z Asyżu.  
Uwagi o tym, jak uczyć się modlić*” – ADRIANO PARENTI
42. „*Cudotwórca z Padwy*” – TL. CECYLIAN NIEZGODA
43. „*Objaśnienia niedzielnych czytań mszalnych – rok ABC*”  
– BP KAZIMIERZ ROMANIUK
44. „*Oto twój król przychodzi. Mesjasz w pismach Starego  
Przymierza*” – JULIUSZ ST. SYNOWIEC OFMConv
45. „*Psychologia miłości*” – CLAUDIO MINA
46. „*Małżeństwo i dziecko. Jak wychowywać dzieci*”  
– CLAUDIO I VIOLETTA MINA
47. „*Prawda Pisma Świętego*” – JULIUSZ ST. SYNOWIEC OFMConv
48. „*Życie małżeńskie uczynić Eucharystią. Rekolekcje dla  
Rodzin*” – KAZIMIERZ LUBOWICKI OMI



## Ewangelizacja Wizualna

*„I rzekł do nich: «Idźcie na cały świat i głoście Ewangelię wszelkiemu stworzeniu! Kto uwierzy i przyjmie chrzest, będzie zbawiony.»” Mk 16, 15-16*

Współczesny człowiek żyje w świecie wielkich odkryć technologicznych, które wpływają na każdą sferę życia i sprawiają, że każdy dzień jest zdominowany przez mass media bombardujące człowieka milionami informacji. Jak w takiej sytuacji ewangelizować? Jak dotrzeć do człowieka, który jest wychowany na telewizji? Jak zaproponować człowiekowi Ewangelię?

Świat mass mediów jest wyzwaniem dla człowieka wierzącego w Jezusa Chrystusa. Jedną z odpowiedzi na to wyzwanie jest EWANGELIZACJA WIZUALNA. Proponuje ona mówienie o Bogu i wartościach



ewangelicznych poprzez plakat, który w swej treści jest związany z okresami roku liturgicznego.

Ewangelizacja wizualna ma przewagę nad innymi formami mediów, bo telewizor lub radio można wyłączyć, gazety nie kupić, natomiast plakatu nie da się nie zauważyć. Nie ma wyboru, trzeba spojrzeć choć przelotnie...



## EWANGELIZACJA WIZUALNA

Fundacja św. Franciszka z Asyżu  
ul. Grodzka 54, 31-044 Kraków  
tel. (012) 428 31 70, tel./fax (012) 428 32 41

Fundacja św. Franciszka i Wydawnictwo OO. Franciszkanów „Bratni Zew” prowadzi EWANGELIZACJĘ WIZUALNĄ na terenie całego kraju. Nasze plakaty są obecne w ponad tysiącu punktach i mówią wszystkim ludziom o Bogu i Ewangelii.

Bardziej szczegółowe informacje o plakatach można uzyskać w Fundacji i w ten sposób można nieść światu Ewangelię razem z nami tam gdzie nie dociera słowo i przykład chrześcijanina.

## **INFORMACJE PRAKTYCZNE O KLEJENIU PLAKATÓW:**

**1/** Plakat o wymiarach 2 m x 1,4 m składa się z czterech arkuszy, które pomimo zgieć spowodowanych wysyłką prostują się przy klejeniu na planszy. Plakat należy nakleić klejem (gęstym) do tapet. Dobrze jest stosować, zwłaszcza w okresie wiosny i jesieni, klej firmy „Henkel” (fioletowy) do tapet lub „Minutex”. Najpierw należy posmarować planszę, a następnie lewą górną ćwiartkę plakatu przyłożyć do planszy i posmarować po wierzchu klejem. Po chwili papier zmarszczy się i wówczas należy oderwać od dołu plakat, a następnie od góry pędzlem przykleić plakat likwidując wszystkie „zmarszczki”. Tak samo postąpić z kolejnymi ćwiartkami, starając się o dokładne dopasowanie.

**2/** Plansza o wymiarach 2 m x 1,4 m powinna być wykonana z płyty wiórowej wodoodpornej, bądź z blachy (najlepiej aluminiowej). Należy umieścić ją tak, aby była dobrze widoczna i aby wiatr nie zdzierał plakatu. Warto również zabezpieczyć planszę przed opadami deszczu lub śniegu montując w jej górnej części niewielki daszek lub okap. Ważne jest, aby dolna krawędź planszy była przynajmniej dwa metry od powierzchni, na której jest ustawiona.

